

# Nie publikowane opowiadanie Wandy Wasilewskiej

str. 6-7

Rozmowy:

z Edwardem  
Hartwigiem

str. 11

i Ireneuszem  
Dudkiem

str. 9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

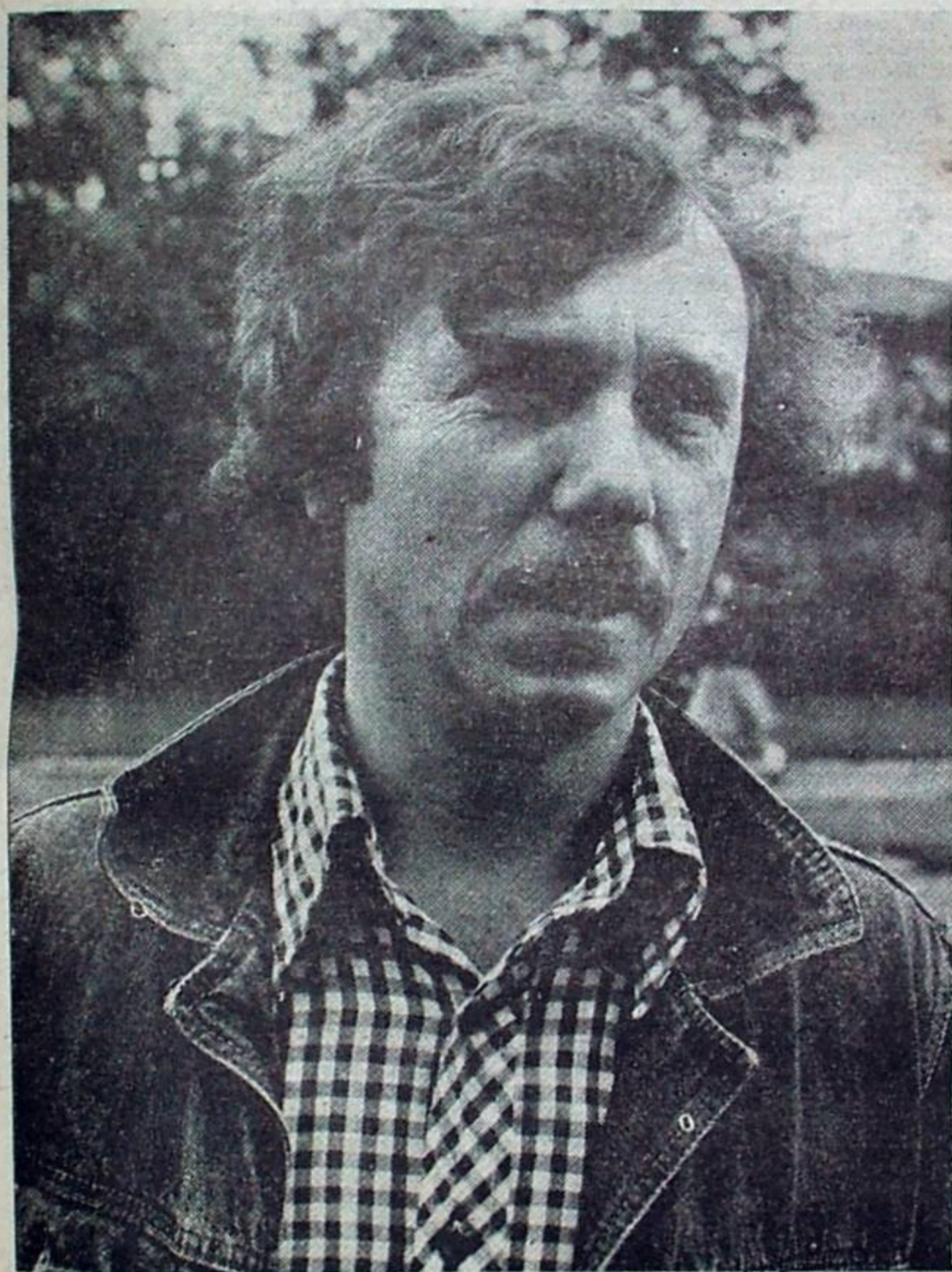
# kamena

NR 10 (882)

17 maja 1987

Cena 20 zł

PL ISSN 8137-1108 Nr 10 (882) 1987



Leszek Mądzik — twórca Sceny Plastycznej Teatru KUL.  
Fot. Stefan Ciechan

## Sceny z życia Leszka Mądzika

Ireneusz J. Kamiński

**L**ESZEK Mądzik związał się z teatrem w 1967 roku, dwadzieścia lat temu, kiedy to z zachęty Ireny Byrskiej wykonał scenografię do wystawianej przez nią na scenie KUL-u „Wandy” Norwida. Rok później i w tym samym miejscu oznaczył plastycznie „Amor divinus” w reżyserii Mieczysława Kotlarczyka, który swego czasu mieszkał zresztą na stacji razem z Karolem Wojtyłą. Nieco później udekorował „Zośkę Galicką” Stanisława Witkiewicza (ojca), poprowadzoną w tymże Teatrze Akademickim przez Elżbietę Wojciechowską asystentkę Kotlarczyka. To był prolog — uwieńczony, rzecz można, nieformalnym egzaminem na czeladnika w firmie o starych, dobrych tradycjach.

Tymczasem teatralna młoda Polska zjeżdżała do Wrocławia, gdzie Jerzy Grotowski wpuszczał jednorazowo bodaj po 30 osób na spektakl „Apocalipsis cum figuris”, obywateli się bez scenografii, zbudowany z czystej biologii obnażonego ciała aktorów, rytualnych gestów i archetypów. Wzbudzało to dreszcz podniecenia na widowni — co stwierdzam jako jeden ze świadków wydarzenia. Wtedy też we Wrocławiu wystąpił „Bread and Puppet” Petera Schumanna, słynna już w świecie grupa teatralna, posługująca się m.in.

wielkimi marionetami, która nad Odrą pokazała „Wołanie ludu o mięso”. Mądzik obejrzał obydwa przedstawienia.

Młodzieżowa kontestacja, która ogarnęła wówczas (1968) Europę i Stany Zjednoczone, próbowała zdemolować obowiązujące wzory moralne obyczajowe, ideologiczne i polityczne, nie oszczędzając oczywiście paradigmatów estetycznych Celem tego ruchu, który np. we Francji doprowadził do rewolty, szczególnie gwałtownej w Paryżu, było złudne pragnienie przemeblowania świata wedle anarchizmiecznie pojmowanej idei wolności. Łagodniejszą, bo artystycznie ułożoną manifestacją owych dążeń stały się uliczne wystąpienia różnych grup teatru niezależnego (otwartego), ale i takie coś, jak musical „Hair”, misterium radosnego, wyzwolonego z kulturowych tabu erotyzmu: Mądzik, który przebywał właśnie we Francji na trzymiesięcznym stypendium (1968/69) zachłannie konsumując rzeczy teatralne, trafił i na „Hair”, ale do końca spektaklu nie wytrzymał. O nie, wcale go nie znużyło to fascynujące, przecież widowisko. Przeciwnie, przyjął „Włosy” niezłym objawieniem artystyczne i pokoleniowe wyznanie wiary — poczem wstał i wyszedł w złości, że to nie on wpadł na taki znakomity pomysł.

Dokończenie na str. 8—9

## Jugosłowiańskie dylematy

# Bojownik drobnej wytwórczości

Rozwój drobnej wytwórczości w Jugosławii, nieufność wobec sektora prywatnego i obserwowane obecnie symptomy zmiany stosunku do niego są tematem rozmowy z byłym działaczem politycznym Czedo Grbiciem, zwanym niekiedy „bojownikiem drobnej wytwórczości”. Wywiad, opublikowany w zagrzebskim tygodniku DANAS, przekazujemy w skrócie.

— W ostatnim czasie zmienia się stosunek do drobnej wytwórczości, szczególnie do sektora prywatnego. Potwierdza to również spotkanie Branko Mikulicia z grupą Jugosłowian pracujących za granicą (\*). Lecz i ta inicjatywa przewodniczącego Związku Rady Wykonawczej spotkała się z różnymi komentarzami. Jak pan ją ocenia?

— Spotkanie to było znaczące dla zmiany naszego postępowania i zbliżone z pewnymi innymi działaniami podejmowanymi przez rząd. Mam na

myśli przede wszystkim propozycję umowy społecznej o rozwoju drobnej wytwórczości i usług, stanowiącą (po rozdziale o drobnej wytwórczości w ramach długofalowego programu stabilizacji gospodarczej) najkonkretniejszy jak dotąd dokument z tej dziedziny. Uczyniono w nim olbrzymi krok w kierunku zlikwidowania i złagodzenia obecnych ograniczeń.

— Co konkretnie ma pan na myśli?

— Wspomniabym tylko o najważniejszych sprawa-

wach. Zezwala się, by właściciel lokalu przeznaczonego na działalność gospodarczą, kiedy przestanie ją wykonywać, mógł go wynająć, jeśli nie otwiera równocześnie nowego warsztatu. Jest wtedy większa pewność co do inwestowania w takie lokale; dotychczasowe rozwiązania były zniechęcające. Wspomniabym poza tym o propozycji liberalizacji w zakresie wykształcenia zawodowego, co dotyczy przede wszystkim zezwoleń na prowadzenie warsztatu w regionach górskich, a także o zniesieniu ograniczeń przy otwieraniu obiektów hotelarskich (proponuje się teraz awet wprowadzenie możliwości zakładania rodzinnych hoteli). W tym samym kierunku idzie propozycja zezwolenia prywatnym właścicielom na posiadanie autobusów, większych ciężarówek i statków do 100 ton ładowności lub 100 miejsc pasażerskich. Umożliwi się także zatrudnienie większej liczby pracowników w prywatnych przedsiębiorstwach. Jednak, moim zdaniem, ten limit należałoby podwyższyć, szczególnie w słabo rozwiniętych gminach czy w wypadku, gdy chodzi o wykonanie umów dla gospodarki społecznej. Wszystko to powinno przyczynić się do zwiększenia liczby zatrudnionych w drobnej wytwórczości i usługach z obecnych 400 tys. do — jak się oblicza — 1700 tys.

Dokończenie na str. 10



**N**IE jestem ekonomistą czy inżynierem, za- ledwie dziennikarzem, lecz pozwolę sobie na sformułowanie ogólniejszej mądrości, która w moim najbliższym przekonaniu trafnie określa egzystencjalne marzenia prawie wszystkich dorosłych, normalnie rozwiniętych lu- dzai. Nie jest to zresztą mądrość oryginalna; prze- kazywano ją w Polsce z pokolenia na pokolenie, aż trafiła do ogłoszonych niedawno „Tez w spra- wie II etapu reformy gospodarczej”, przewijając się sparko również przez prawie wszystkie wy- stąpienia uczestników gdańskiego XXI Kongresu Techników Polskich, ozdobionego w końcu kwie- śnia bardzo interesującą uchwałą generalną. Myśl owa brzmi zatem następująco:

„Wolę być mądry i bogaty, niż biedny i głupi”.  
Powiedzcie sami: czy spotkaliście się kiedykol- wiek z sentencją tak ascetyczną w formie, a boga- tą w treści?

Owszem, zacytowane porzekadło odbiega nieco od wersji zakodowanej w pamięci zbiorowej, gło- wnie starszego pokolenia, ale nie byłbym dzienni- karzem, gdybym nie przycinał tego i owego w tek- stach podawanych do publicznej wiadomości.

W pierwszym czytaniu myśl tamta wydaje się oczywista w swych preferencjach, w końcu na- prawdę lepiej być mądrym i zamożnym, niż ubo- gim imbecylem. Ale jej urok nie sprawdza się do tego, co bezpośrednio dane, on blyszczy w for- mie, w poetyce sentencji, która przekornie sug- eruje, że akceptacja dóbr bendykatywnych stanowi jakby akt odwagi. Paradoxs.

A może nie taki znów paradoks? Naturalnie, kogo by zapytać w Polsce, ten odpowie, że woli być mądry i bogaty, czy raczej — bogaty, no i mądry też. Vox populi, vox dei, zatem we wspom- nianych „Tezach” i materiałach z Kongresu Tech- ników stwierdza się jednoznacznie że celem nad- rzędnym wszelkich działań reformujących naszą gospodarkę jest zaspokojenie rzeczywistych, mate- rialnych i niematerialnych, potrzeb społecznych. „Tezy” wskazują przy tym, że „Podstawową siłą napędową gospodarki stać się powinna przedsię- biorczość zbiorowa i indywidualna, motywowana dążeniem do poprawy własnej pozycji material- nej, sprawdzenia swoich talentów i umiejętności, drogą do awansu społecznego”. Podobnego zdania byli wszyscy inżynierowie i technicy, którzy w liczbie ponad 1300 obradowali w hali „Oliwii” (nie- wątpliwie przejdzie ona do historii PRL). Częścio- wo krytykując zacytowany dokument za ogólniko- wość, zgadzali się przeciw, że celem najważniej- szym jest kształtowanie postaw innowacyjnych w

społeczeństwie. Należy, mówili, odważnie walczyć z biurokracją, która obawiając się utraty władzy, torpeduje realizację reformy gospodarczej, neutra- lizuje przedsiębiorczość i inicjatywę. W ogóle chodzi o postawienie na nogach tego, co stoi je- szcze na łące. Jak to możliwe, pytano, że w kraju zdegradowanym technologicznie, a więc zmuszonym do pogoni za nowoczesnością, inżynier zarabia tyle, co robotnik? W latach pięćdziesiątych przeciętne uposażenie inżyniera równe było 1,65 płacy ro- botnika, na początku obecnej dekady — już tylko 0,3. Teraz coś tu drgnęło, ale tylko do poziomu

nie staniemy przed perspektywą stopniowej stag- nacji gospodarczej”.

O! problem, trudny problem psychospołeczny. Rzecz w tym, że my przywykliśmy do miłego egalitaryzmu, dla świętego spokoju przysmakując nawet oczy na „czarne dziury” tego układu, z któ- rych dobywał się śmiech ironiczny. Kształtowała nas świadomość, że wszyscy możemy i powin- niśmy być mądrzy i bogaci, a jeśli przypadkiem znajdziemy się w opałach, to „góra” nam pomo- że. Czasz się zwoleńcy, miły zbladły, mógł się za- gotować, a portki opadły. Ale gdzie tam w pod-

## Wolę być mądry i bogaty

Włodzimierz Jona

1.1. Zracjonalizowanie tych proporcji przekracza w skutkach sferę dóbr prywatnych, leży w inte- resie gospodarki, uwiarytelnia ciągle ponawiane zachęty do premiowania postaw twórczych.

Sprawa jest zatem jasna: aby nie żyć w bie- dzie, powinniśmy być przedsiębiorczy, nowoczesni, pełni inicjatywy, twórczy. Ujawnienie tych talen- tów i ich spełnienie umożliwi nam nowy system gospodarczy, oparty na nowej, zracjonalizowanej hierarchii wartości. Nic jednak za darmo, oznaj- mia się — i słusznie — w „Tezach”:

„Przyspieszenie procesu reformowania gospodar- ki jest szansą, ale wymagającą poniesienia okre- ślonych kosztów społecznych. Poprawa efektyw- ności gospodarowania, lepszy rynek, nadążanie za postępem technicznym, a w ostatecznym rachunku wzrost ogólnego poziomu życia będą możliwe pod warunkiem uzyskania społecznej akceptacji na zwiększenie wymagań i wysiłku społecznego, na szybszy wzrost dochodów jednostek i załóg wyka- zujących się większymi zdolnościami, przedsiębior- czością i gotowością do zwiększonego wysiłku, na zmiany w strukturze spożycia w wyniku przebu- dowy struktur cen i równoważenia poszczególnych rynków, na zagrożenia stabilności miejsca pracy i wykonywanego zawodu w przypadku złych wyni- ków ekonomicznych przedsiębiorstwa”.

A jeśli nie będzie zgody na takie rozwiązania?

„W przypadku braku takiej akceptacji nie tylko nie będzie możliwe przyspieszenie reformowania,

świadomości uchowało się nam marzenie o po- wszecznej równości, które jako dzieci szaliśmy z mlekiem ludowej matki. No i masa, babo, pla- ciek z zakalecem proporcjonalnym do dziwacznej konfiguracji kraju na ogół błędnego, w którym ni stąd, ni zowąd sierzalają przeciętne albo po- jedyncze fortuny. Co nam pozostaje? Przydepląs gardziel pieśni sentymentalnej i postawić na zdro- wy, ale agresywny rozsądek. Nie moja to pro- pozycja, ale dobra

„Innowacyjność nie znosi hierarchicznych struk- tur, schematyzmu, różnego rodzaju administracyj- nych barier gospodarczej aktywności ludzi i przed- sięwzięć, progów wchodzenia przez nich na no- we pola itp. Można ją osiągnąć dzięki oddolnym siłom postępu przez zaangażowanie indywidualne i powstawanie nowych, prężnych, nawet agresyw- nych i najeźdźczych niewielkich jednostek organiza- cyjnych”.

Zakłada się, że takich małych jednostek, przed- sięwzięć innowacyjnych, powstanie w kraju bodaj 500. Ludzie zorientowani twierdzą jednak, że to liczba nader optymistyczna, albowiem podobne inicjatywy natrafiają na „mur niechęci” w tzw. zyciu.

W „Tezach” stwierdza się, że „proces reformo- wania będzie procesem trudnym, niewolnym od sprzeczności społecznych, a nawet konfliktów”.

Święta prawda, ale chciałoby się wiedzieć, jak nazywają się wszystkie strony konfliktów, które są i będą w przyszłości?

## Na wschód od Bugu

# Byłeś w GUM-ie?

Włoski tygodnik „Europeo” zamieścił obszerny artykuł o mo- skiewskim GUM-ie, jego historii, legendzie i aktualnych obrotach.

„**B**YŁEŚ w GUM-ie?” — jest to prawie obowiązkowe pytanie zadawane turystyce po powro- cie z Moskwy. Odpowiedź przecząca równa się świadomemu po- grążeniu się w oczach rozmówcy: nieostrożnemu podróżnikowi nie po- może też szybkie pokazanie futra- zych czapek z królika, ceramicznych siedzewiedzi, wełnianych szali, dre- wianych lalek i wszystkich innych owarów, jakie zgromadził w jednym i wielu sklepów „Bieriozki” (bierioz- ka znaczy dosłownie brzoza, są to sklepy, w których można nabywać towary wyłącznie za dewizy).

Przyczyna takiej legendy GUM-u jest prosta. Wystawy magazynów GUM wychodzą na Plac Czerwony. Naprzeciw nich, na przeciwległym chodniku, co godzinę odbywa się zmiana warty przed mauzoleum Leni- na. Jest to cel 300 tysięcy kupujących dziennie, jest to największy sklep nie tylko w tym mieście, ale w całym Związku Radzieckim. I w tym znacze- niu jest wiarygodnym termometrem do mierzenia stosunku między obywatel- stem radzieckim i konsumpcją, do oceny zarówno siły nabywczej rubla, jak i jakości towarów produkowanych w ZSRR. [...] Względna szczupłość o- ferowanych towarów (w porównaniu z popytem) stwarza wrażenie głębo- kiego znużenia, oczekującego światła. Ale zbity tłum, długie kolejki często dzieją się na części w szepczanych roz- mowach. I wszędzie GUM-u nasy- on się nieskończonymi komentarzami łączącymi naród z mirażem łatwiej- szego istnienia.

Teraz, wraz z powiewem Gorbaczowa, miraż staje się bliższy, czasami wręcz dotykalny. Poczynając od 1987 r. hasło partii jest następujące: prze- mysł musi dostarczać handlowi pro-

dukty wysokiej jakości i w dużym wyborze — mówi mi delegacja trzech dobrze odżywionych kobiet, wśród których prym wiodła Ludmiła Sidorowa, wicedyrektorka GUM-u. — Słowem od tego roku sytuacja się od- wróciła. Handel nie jest już podpor- rządkowany przemysłowi, ale vice versa. Przemysł ma dostarczać to, czego handel żąda, a to całkowicie zrewolucjonizuje zakupy obywateli radzieckich. Dzięki interwencji partii będziemy mogli oferować naszym od- biorcom produkty wybrane tak, aby popyt nigdy nie pozostał zaspokojony”.

Pracując w GUM-ie od prawie trzy- dziestu lat, te zżywe menedżerki mają niezachwianą wiarę w działal- ność góry politycznej. Ale nawet wy- suwając wszelkie możliwe zastrzeże- nia w sprawie tego prymatu usług ustawionego z góry, nie wydaje się słuszne wątpić w gorbaczowski za- mierzenie podarowania obywatelowi radzieckiemu — niezależnie od dumy z osiągnięć kosmicznych — również mniej frustrujących zakupów. Stawa- ka jest bowiem ogromna: skąd ZSRR weźmie niezbędne środki na sfinanso- wanie większej produkcji wewnętrz- nej? I w jakim terminie — śred- nim, długim, bardzo długim — ko- rzystne skutki takiego wysiłku fi- nansowego dadzą się odczytać w ży- ciu codziennym człowieka z ulicy? Przewidywanie jest niemożliwe. Ale nawet gdyby trzeba było na to dzie- sięciu lat, ta rewolucja konsumpcji — jeżeli nastąpi — zacznie się od GUM-u. Dlatego wydało się nam celowe wstę- pienie nosa w tę wschodnią świątynię handlu.

„Europeo”

Świątynia podniszczona, ale miraż to świątynia. Zbudowana między 1892

zenia sklepów za pomocą przesunię- cia ścian działowych.

Liczy

Obroty GUM-u wynoszą rocznie o- koło miliarda czterystu milionów rub- li. Do tej sumy dochodzi GUM dzięki pomocy swoich filii, wśród których są także sklepy w Jugosławii, Czechos- łowacji, NRD. W siedzibie centralnej, która realizuje siedemdziesiąt procent obrotów, sprzedaje się towary wszel- kiego rodzaju z wyjątkiem towarów wielkich rozmiarów: mebli, lodówek, dywanów. W GUM-ie pracuje pięć tysięcy osób, razem z filiami dziewięć tysięcy. Warto zwrócić uwagę, że roz- miar sprzedaży jest nie tylko wyższy od jakiegokolwiek innego sklepu ra- dzieckiego, ale także najwyższy tak w dziedzinie liczby sprzedawców, jak i metrażu. Aby skompensować większą pracę sprzedawców, w GUM dostają oni płacę o dwadzieścia pięć procent wyższą od innych moskiewskich sprze- dawców.

W ciągu ostatnich pięciu lat obroty GUM-u wzrosły o sześćdziesiąt pro- cent. W ciągu ostatnich dziesięciu lat o sto procent. Taki wzrost ujawnił także problem kradzieży. „Ale jest to problem odczuwany przede wszyst- kim w filiach — wyjaśnia Sidorowa — które w siedemdziesięciu procent- tach pracują jako samoobsługowe. Według maksymalnych obliczeń, usta- lamy straty wynikające z kradzieży na około 0,3 proc. w dziale żywnościow- ym i około 0,07 proc. w innych. Czasami udaje się nam utrzymać w średniej, czasami nie. Zależy od pory roku i od wielu innych czynników. W każdym razie stworzyliśmy bodźce dla sprzedawców: z tego, co ich punkty sprzedaży oszczędzi na kradzieżach, 60 procent przypada im”.

GUM jest otwarty od ósmej rano do dziewiątej wieczorem codziennie z wyjątkiem niedziel. Pora największe- go ruchu przypada na godziny między 15 i 19, zakupy wzrastają od środy do soboty i oczywiście nasilają się w okresie przedświątecznym. Decydują- cymi datami są Nowy Rok i 8 marca. Rozważając kwartałami, największa sprzedaż przypada na pierwszy i trzeci kwartał roku.

Dokończenie na str. 8

Kamena



Warszawskiej. Po dziewięciu miesiącach śledztwa został skazany za udział w powstaniu 1863 r. przez sąd wojenny na karę śmierci, którą zamieniono mu na dziesięć lat ciężkich robót na Syberii. W okresie katorgi w Ussolu koło Irkucka towarzyszyła mu dobrowolnie żona Elżbieta (córka Jana Pawłowskiego, właściciela majątku Czechówka Górna koło Lublina), współpracująca z nim w czasie powstania 1863 r. W domu swych rodziców przechowywała ona dokumenty Rządu Narodowego.

i publicysta, należał do ludzi oryginalnych w pełnym tego słowa znaczeniu. Umiał podejmować śmiało decyzje był człowiekiem zdecydowanym, twardym i odważnym, cechowała go zwierzłość wypowiedzi i niesłychana trzeźwość w ocenie sytuacji.

Adam K. Majewski należał bez wątpienia do grona najbardziej aktywnych członków lubelskiej Rady Miejskiej przez cały okres międzywojenny. Wybierany był jako jeden z nielicznych radnych do Rady Miejskiej sześciu kolejnych kadencji od 1918 aż do

Wówczas to Adam K. Majewski założył do spółki z kilku innymi kolegami pierwszą prywatną lecznicę chirurgiczną w Lublinie przy Krakowskim Przedmieściu 49 (tzw. Leżnica Lubelska), którą po kilku latach przejął na wyłączną własność i prowadził aż do roku 1943, czyli do przejęcia jej przez władze niemieckie. Stanowiła ona ważny ośrodek lubelskiego leczenia. Odbywający w niej praktykę chirurgiczną syn właściciela pisał później: „Mój ojciec był człowiekiem starej szkoły chirurgicznej,

chirurgicznej profesora T. Ostrowskiego we Lwowie na stanowisko asystenta.

We wrześniu 1939 r. wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego, był chirurgiem Szpitala Wojennego nr 606. 20 września tegoż roku został internowany wraz ze swoją jednostką w obozie wojskowym na Węgrzech, skąd przedostał się do Francji i brał udział w walkach z Niemcami w 1940 r. w 10 Brygadzie Kawalerii Pancerniej gen. S. Maczka. Po klęsce Francji przedostał się do Wielkiej Brytanii z jednostkami Wojska Polskiego. Dalszy szlak bojowy Majewskiego prowadził przez Palestynę, Irak i Egipt, skąd jako lekarz 3 Batalionu Strzelców Karpackich w 1943 r. odpłynął do Włoch i wziął udział w majowej bitwie pod Monte Cassino w 1944 r. W czasie owej bitwy Majewski przebywał najdłużej jako chirurg w „Domku Doktora” na wzgórzu 593. W pobliżu tego obiektu uległ kontuzji, po której pozostało ciężkie uszkodzenie kręgosłupa. Wiasne ocalenie, będące skutkiem przedziwnego spłotu okoliczności, opisał po latach następująco: „Po jednym z największych wysiłków, jaki musiałem wykonać w czasie wojny, wypadał mi schronić w górach i spadając po skarpie kilkanaście metrów w dół, zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że w tej samej sekundzie uderza w mój mały schronik pocisk artyleryjski, który tak doszczętnie go rozniósł, że w tym miejscu pozostał jedynie płytkie wklęsnięcie grzbietu skalnego i ani śladu gruzów, bełek czy jakiegokolwiek moich resztek” (A. Majewski, Reminiscencje...).

Wreszcie nadeszła upragniona chwila dla żołnierzy polskich walczących pod Monte Cassino, która utrwaliła Majewski w swojej słynnej książce: „18 maja przyszła wiadomość o zdobyciu klasztoru. Przyjeśliśmy ją wszyscy z uczuciem ulgi i radości. Daliśmy w końcu radę tam, gdzie przed nami nie mogli walczyć nasi alianci. Wszystkie te ofiary, które poniósł Polski Korpus, nie poszły na marne” (A. Majewski, Wojna, ludzie i medycyna, Lublin 1960). Po rekonwalescencji doktor Majewski został przeniesiony na stanowisko komendanta czołówki chirurgicznej nr 250. W 1946 r. ponownie wyjechał do Wielkiej Brytanii, a w maju 1947 r. powrócił do kraju i objął stanowisko starszego asystenta II Kliniki Chirurgicznej profesora Wiktora Broesa we Wrocławiu.

W latach 1950—1956 z polecenia Ministerstwa Zdrowia Majewski organizował oddziały chirurgii klatki piersiowej w sanatoriach przeciwgruźliczych w miejscowościach: Szczecin-Zdunowo, Tuszyn k. Łodzi, Bystra Śląska, Chodzież k. Poznania, Górno k. Rzeszowa. „Praca w sanatoriach — pisał — była ciężka — dawała mi duże zadowolenie, ale czasami była kłopotliwa. Chorzy wędrowali za mną, a po rejonizacji „atakowali” Ministerstwo Zdrowia. Pamiętam jak po objęciu sanatorium w Tuszynku pod bramą sanatorium gromadka chorych zjawiała się ze skierowaniami z Ministerstwa z różnych regionów kraju. Przyjechał też z Ministerstwa nacelnik do spraw gruźlicy, tłumacząc, że musiał im wydać takie skierowania, gdyż na wszystkie jego tłumaczenia mieli jedną odpowiedź — A jak pan zachoruje, to co pan zrobi?”

Po kilku latach powrócił do pracy w chirurgii ogólnej. Od 1957 r. zatrudniony był w Klinice Chirurgicznej Akademii Medycznej w Lublinie, a następnie pracował w lecznictwie otwartym, początkowo w Lublinie, a od 1966 r. w Toruniu. Bardzo lubiany przez chorych, mniej przez personel, bo był wymagający. Potrafił o różnych porach dnia i nocy zjawiać się na salach chorych, aby sprawdzić, czy mają oni należytą opiekę. Miał wybitne zainteresowanie naukowe. Ogłosił wiele prac naukowych z dziedziny chirurgii i torakochirurgii. Wykonywał operacje z bardzo dobrymi wynikami, wykazując wybitne zdolności operacyjne oraz dobrą technikę. Po przejściu na emeryturę w 1972 r. poświęcił się twórczości literackiej. Był członkiem Związku Literatów Polskich. Otrzymał szereg odznaczeń wojennych polskich i brytyjskich. Zmarł w Toruniu 24 maja 1979 r., został pochowany w Warszawie na Powązkach. Znany historyk i literat Olgierd Terlecki napisał o książce Adama Majewskiego: „Wojna, ludzie i medycyna” następująco: „Dzielo dra Majewskiego wypadnie nam zaliczyć do pomników polskiego pamiętnikarstwa wojennego”.

Józef Marczuk

## Trzy pokolenia Majewskich



Adam August (1864 r.)



Adam Kazimierz (1905 r.)



Adam (1960 r.)

W rodzinie zesańca 19 listopada 1867 r. przyszedł na świat w Ussolu syn Adam Kazimierz, przyszły lubelski chirurg. Jego rodzicom dane było powrócić do kraju dopiero po dwunastu latach zesłania w roku 1877 i zamieszkać na stałe w Lublinie. Adam August Majewski nadal prześladowany przez władze rosyjskie, nie mogąc piastować urzędów państwowych, jako prawnik otworzył kancelarię adwokacką. Często bezinteresownie bronił ludzi biednych i pokrzywdzonych. Nie przyjmował sprawy, jeśli nie był przekonany, że jego klient jest niewinny. Do ludzi — szczególnie do ubogich — miał stosunek braterski. Po założeniu w Lublinie Towarzystwa Kredytowego Miejskiego został wybrany jego prezesem; godność tę piastował przez blisko 30 lat. „Dla swej prawości i zacności charakteru — czytamy o nim w „Palestrze” — był wielce przez kolegów szanowany i ceniony. Do końca życia pozostał takim, jakim był zawsze: gorącym patriotą, jednym z tych, którzy w najcięższych nawet chwilach nigdy nie upadali na duchu, wyznawali zawsze szczerze i otwarcie swe przekonania narodowe, nie tracił nadziei na lepszą przyszłość. Skromny, oszczędny, nie narzucający się nikomu, wróg błichtru i blasku, nie uchylał się w razie potrzeby od postęgu publicznego i chętnie popierał radą, pomocą i kieszenia wszelkie dobre sprawy. Stał interesował się gorąco sprawami publicznymi” („Palestra” nr 9, 1971). Zmarł 12 lutego 1908 r. w Lublinie, został pochowany na cmentarzu przy ulicy Lipowej.

W „Ziemii Lubelskiej” z 25 lutego 1908 r. zamieszczony został wiersz znanego poety Zygmunta Lubicz Zaleskiego o pt. „Cieniom Adama Majewskiego”. W wierszu tym autor pisze m. jn.:

Ktoś był — niech świadczy stoki  
Cytadeli;

stoki naszego kiedyś Kapitulu,  
i ten Srebrzysty Duch świadczy

Anielli,

tajgi Sybiru i taczki Ussolu,  
alé nad wszystko niech świadczy

ta Ona,  
ta wiecznie żywa, chociaż

porzeczona.

Drugie pokolenie Majewskich w Lublinie reprezentował syn zesańca Adam Kazimierz, lekarz chirurg, człowiek niespożytej energii, znany z szerokiej działalności społecznej, a także politycznej, jako wieloletni przywódca ugrupowań Narodowej Demokracji w województwie lubelskim. Zarówno jako lekarz, radny miejski, polityk, jak

1939 roku i nieprzerwanie też przewodniczył klubowi narodowemu. Jako radny był nie tylko doskonałym mówcą, starannie argumentującym swe stwierdzenia, lecz także mistrzem ironii, zwłaszcza gdy polemizował z radnymi klubu PPS bądź ugrupowań żydowskich.

A jaka była droga Adama K. Majewskiego do kariery lekarskiej w Lublinie? Po ukończeniu miejscowego gimnazjum odbył studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim, zakończone uzyskaniem dyplomu lekarza w 1894 r. Bezpośrednio po studiach został zatrudniony jako asystent na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie u profesora Ludwika Rydygiera, jednego z najwybitniejszych chirurgów w owym czasie, twórcy polskiej szkoły chirurgicznej. Specjalizacja w klinice profesora Rydygiera umożliwiła mu już w 1895 r. objęcie stanowiska ordynatora oddziału chirurgicznego w Szpitalu św. Wincentego a Paulo w Lublinie.

W 1909 r. aresztowano go za przynależność do tajnego Narodowego Związku Robotniczego i po ośmiu miesiącach wzięcia na Zamku Lubelskim został wydalony z granic Królestwa Polskiego na okres trzech lat. Majewski wybrał na miejsce wygnania wraz z żoną Zofią — Lwów, gdzie został przyjęty przez swego dawnego mistrza z okresu specjalizacji w Krakowie, profesora Rydygiera, na stanowisko tak zwanego „elewa bezpłatnego” przy klinice chirurgicznej. Pracował tam do 1913 r., publikując szereg prac naukowych z zakresu chirurgii. Uzyskał również stopień doktora medycyny. Jak wspomina po latach jego syn, lekarz chirurg Adam Majewski-junior: „Pobyt rodziców na wygnaniu był bardzo trudnym okresem w ich życiu. Jako obywatel obcego państwa, pomimo starań profesora Rydygiera, ojciec nie mógł uzyskać zezwolenia na objęcie płatnego etatu w klinice. Nie wolno mu również było prywatnie praktykować. Przy tym musiał się regularnie, co tydzień, meldować w rosyjskim konsulacie. Ostatecznie rodzice żyli cząściowo z oszczędności, które nie były wielkie, i z tego, co im babka od czasu do czasu przysyłała z Lublina. Kiedy wreszcie w 1913 r. pozwolono ojcu wrócić do kraju, po krótkim okresie pracy na dawnym stanowisku w Szpitalu św. Wincentego a Paulo, został na żądanie gubernatora zwolniony” (A. Majewski, Reminiscencje...).

bardzo wiele wymagającym od siebie i od innych. W swojej lecznicy wprowadzał najnowsze urządzenia i instrumenty, prenumerował i czytał wszystkie wychodzące w kraju i we Francji pisma i książki o tematyce chirurgicznej, uczestniczył we wszystkich krajowych zjazdach chirurgów i utrzymywał żywy kontakt z dawnymi kolegami, z których kilku zajmowało kluczowe pozycje w chirurgii polskiej” (A. Majewski, Lekarz też człowiek, Gdańsk 1930).

Pacjentami lecznicy Majewskiego byli z reguły ludzie zamożni, mający uprzedzenie do państwowych szpitali. Najwyższy ich procent stanowiła ludność wiejska, zwłaszcza lepiej sytuowana materialnie. Drugą pod względem liczebności grupą byli Żydzi. Z usług lecznicy korzystali chętnie właściciele ziemscy, znani z przesadnych wymagań i za to najmniej lubiani wśród niższego personelu. Właściciel lecznicy, obciążony obowiązkami zawodowymi i społecznymi, mało czasu poświęcał życiu rodzinnemu. W domu był najczęściej zamknięty w sobie, niekiedy narzucający swoje stanowisko członkom rodziny.

Lata okupacji hitlerowskiej dla lekarza w podeszłym już wieku były ciężkie. Aktywnie działał w ruchu oporu. Aresztowany przez gestapo 12 listopada 1942 r. przebywał przez kilka miesięcy w więzieniu, najpierw „Pod Zegarem”, a później na Zamku Lubelskim. Rodzinę jego Niemcy wyrzucili do zastępczego mieszkania. Adam K. Majewski nadal był czynnym lekarzem. Jednocześnie pisał pamiętnik swego życia, który jednak nie zachował się. Przez kilkadziesiąt lat był aktywnym członkiem Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego. Ogłosił 15 prac z zakresu chirurgii i chorób wewnętrznych. Zmarł w Lublinie 31 lipca 1948 r. i został pochowany w grobie rodzinnym w tym mieście.

Adam Majewski-junior, lekarz chirurg, pisarz, autor wspomnień wojennych, należał do trzeciego pokolenia tego rodu. Był lekarzem z powołania i człowiekiem prawym. Urodził się 24 maja 1907 r. w Lublinie i tutaj też uczęszczał do gimnazjum Stefana Batorego. Po trzech latach studiów w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie przeniósł się na medycynę na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Tam uzyskał tytuł lekarza w 1936 r., a następnie w 1938 r. stopień doktora medycyny. Po rocznym pobycie naukowym w II Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu Warszawskiego, przeniósł się do Kliniki Chi-





# Sceny z życia Leszka Mądzika

Dokończenie ze str. 1

Jak powiedział Salvador Dali: „Każda twórczość jest aktem megalomanii, artysta jest równy Bogu, ruchem ręki stwarza gwiazdy, sam staje się gwiazdą”

Wrocławskie i paryskie doświadczenia rozwinęły wyobrażenia Mądzika o teatrze. W roku 1969 utworzył własną grupę, która po trzech spektaklach przyjęła znaną dziś nazwę Sceny Plastycznej Teatru KUL. Jej działalność zamocowała wystawienie moralitetu-misterium „Ece homo” (1970), który z miejsca wzbudził zainteresowanie publiczności i zwrócił uwagę krytyki na młodego autora scenariusza, scenografa i reżysera w jednej osobie. Z biegiem czasu w rytmie kolejnych premier Mądzik destylował swoją koncepcję teatru plastycznego już w „Wieczery” z 1972 roku całkowicie wykluczając słowo. Zredukował też funkcję aktora, następnie pozbył się takich przedmiotów, które były nośnikami konkretnych znaczeń. Od połowy minionej dekady próżno szukać w realizacjach Sceny anegdoty i alegorii uchwytnych w niektórych wcześniejszych przedstawieniach „Zielnik” (1976), „Wilgoć” (1978), „Wędrownie” (1980), „Brzeg” (1983), czy ostatnie „Pętanie” (1986) nie poddają się racjonalizacji, przypominają marzenia sennie dyscyplinowane miejscami symboliką o charakterze uniwersalnym; ich recepcyjna „inkarnacja” odbywa się przez zapatrzenie i zaśluchanie a nie za sprawą lektury poszczególnych obrazów, kadrów, sekwencji. Dzięki temu teatr Mądzika akceptowany jest w różnych rejonach Europy: w Portugalii i Finlandii, we Francji i w RFN, w Belgii i we Włoszech, w Czechosłowacji, Holandii, NRD, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii.

„Miłość, wiara, świętość, przerażenie, poczucie skończoności, śmierć — oto co zaludnia orzestrzeń tych spektakli: i w zasadzie cały czas (...) robię jedno przedstawienie” — wyjaśniał Mądzik na łamach „Teatru” (6/83).

Jedenastcie premier Sceny Plastycznej omówiono w licznych recenzjach i artykułach problemowych opublikowanych w kraju i za granicą. Zwracając uwagę na spektakl przełomowy w działalności Mądzika, „Gazzetta di Parma” stwierdziła np., że „Ikar jest niewatłiwie czymś fascynującym, gdzie również cienie i oblakańcze ruchy „scen plastycznych” stała się rytmem, powolnym skandowaniem człowieka który biegnie i jest zatrzymywany Ikar, który ulatuje i spada na ziemię. Lecz najważniejszym motywem widowiska jest być może wysiłek by ukazać wieczny rozdźwięk między Jednością a Zespołem między Indywidualum a Państwem. Odwieczny lot jednostki i jej ciągły upadek w masę w biurokrację w pustynie niezliczonych manekinów?”

Nad dorobkiem Sceny Plastycznej nachylali się studenci (cztery prace magisterskie) i uczeni egzegeci. Finowie nakreśli film o Mądziku, niedługo ukaże się zbiorowa książka „Teatr bezsłownej prawdy” pod redakcją i ze wstępem dr. Wojciecha Chudego (KUL), który uważany bywa za najbardziej dociekliwego obserwatora początku Sceny. Twierdzi on m.in., że kreacja Mądzika „jest z natury teatrem filozoficznym. Operuje on w pierwszym planie pierwotnymi jakościściami, z którymi styka się każdy człowiek bez względu na kulturę i historię. Są to takie jakości jak kontakt z drugim człowiekiem, lęk, miłość, odczucie czasu i jego przemijania. Ekspresja tych jakości przebiega u Mądzika w płaszczyźnie przedświatowej, przedojeciowej. Głównymi elementami, które składają się na substancję tego teatru, są przestrzeń, rytm i nastrój. Wszystkie te elementy związane są z bytem ludzkim”.

Wskazuje się ponadto na powiązania Sceny z teatrem scenograficznym bądź reliefowym, na jej wspólnotę genetyczną z happeningiem, akcjami plastycznymi i performances.

Krótko mówiąc: teatr ten rozkłada się na czynniki pierwsze w perspektywie wyznaczonej przez ontologię i archetypy przez Junga i św. Jana od Krzyża, z drugiej strony odnosząc sprawę do sztuki Craiga Appia, P. Schumann, Grotowskiego, Kantora i Szajny często zresztą na sposób polemiczny. Znawcy przedmiotu sprzeczą się, czy Scena ma charakter awangardowy czy też zakorzeniona jest w tradycji z otwarciem na nowe jakości ile w niej „mythos” w ogóle, a ile chrześcijańskiej eschatologii.

Zapewne są to czynności prawomocne i pozytywne, ale w tak wyznaczonym universum — mistyki i sztuki — niknie sama postać Leszka Mądzika, człowieka z krwi i kości, o życiorysie ukształtowanym przez drobność codzienności, która nijak przecież nie może przesnąć się przez granice wytyczone mocą Historii. Jeśli nawet Mądzik posługuje się w teatrze „zapomnianym językiem” (uniwersalnych symboli), to przecież jego ducha przyswoił sobie przede wszystkim w szkole kultury polskiej, z historycznie zdefiniowanych powodów uwrażliwionej np. na fenomeny destrukcji i śmierci, wyraźnie wszak obecne w naszej sztuce. Ważniejsze jednak i zgodne z deklarowaną wyżej estymą dla „drobności codzienności” jest to że Mądzik w dzieciństwie często spoglądał w twarz trupa.

Urodził się 15 lutego 1945 roku we wsi Bartoszewina na Kielecczyźnie, w Górach Świętokrzyskich, 2 km od ko-

Kryta była przecież znakiem odległej przeszłości, zabytkiem. Ze śmiercią po śmierci, uszytniającej dopiero twarz żywych do niedawna ludzi zetknął się Mądzik w Kielcach gdzie jako kilkuletni chłopak zamieszkał z rodziną, przy ówczesnej ulicy Bodzentyńskiej. W drodze z domu do szkoły, na przestępni około jednego kilometra, przyszło mu mijać aż trzy zakłady trumniarskie usytuowane tutaj ze względu na pobliską kostnicę przy szpitalu, która, jak to po wojnach bywa, pracowała na wysokich obrotach, wcale nie kryjąc tajemnie swojego wnętrza. Wystarczyło podskoczyć, by przez okienną szybę spojrzeć twarzą w twarz nieboszczyka: jednego, drugiego, piątego. Atmosferę ulicy określał ponadto spowolniony rytm pogrzebowych zaprzęgów, owych ozdobnych karawanów, ciągniętych przez konie nakryte czernią czapraków, przetykanych srebrną nielą. Te konduktory dzień w dzień przechodziły pod oknami mieszkania Mądzika. „Oswoilem się wtedy ze śmiercią” mówi szef Sceny Plastycznej.

Zbiegiem okoliczności, i w późniejszych latach przyszło Mądzikowi poruszać się w rejonach gdzie śmierć oblaśniała się świętym namaszczeniem, modlitwa, oświeca i wiara. Nie zadecydowały o tym żadne uniwersalia, archetypy czy wielkie idee sztuki.

Otóż, po szkole podstawowej rozpoczął naukę w kieleckim liceum plastycznym, jako że utrwalał niejaki zdolności w malowaniu pejzażyków i innych takich. Tamże zajął się jednak tkaniną i to w sposób budzący zdumienie grona Rzecz w tym że swoje gobeliny przepłatał zardzewiałymi drutami, co wówczas w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, uchodziło w Kielcach za szczyt awangardowej ekstrawagancji.

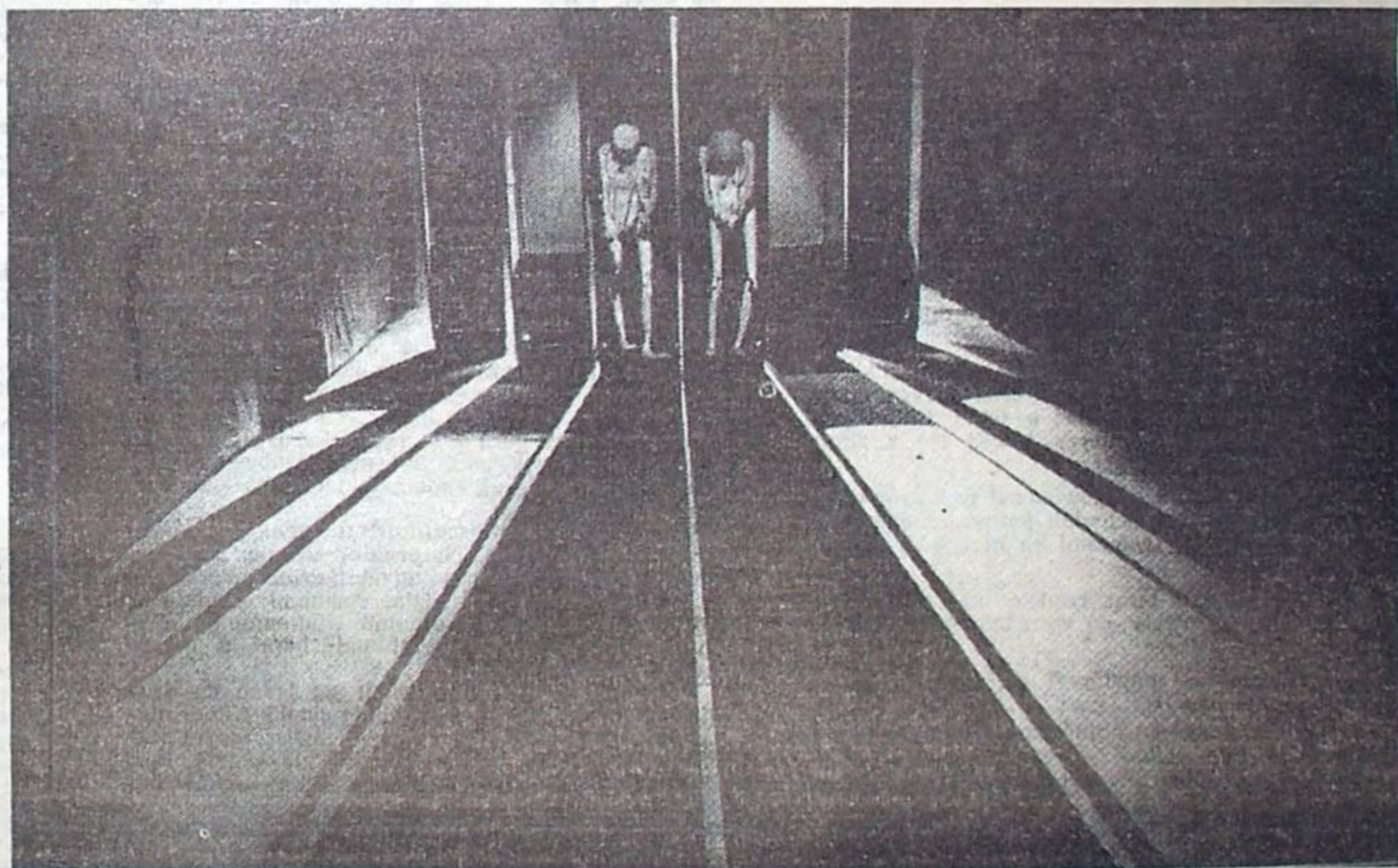
Naturalna kolejka rozbudzonych zainteresowań i aspiracji orłował następnie podjąć studia plastyczne — bezskutecznie.

Kolejne podejście Mądzika pod mury uczelni odbyło się w Lublinie.

użytek uniwersyteckiego DKF-u. Miał też spora wystawę indywidualną w pięknej wabiacej surowa faktura rdzawego muru białnicy która znajdowała się pod starym frontonem uczelni, zastąpionym kilka lat temu „internacjonalną nowoczesnością” ze szkła i marmuru lameli. Autor osobiście oprowadził mnie po tej ekspozycji, która poświęcała, że Mądzik potrafi syntetyzować temat do malarstwa, zna się na formalnej strukturze ikony, klasztoru sobie radząc z Hieronimem. Niestety plakatem interesowałem się „od biennale do biennale” zatem błąknąwszy kilka ozdobiaków, opuściłem piwnicę i autora w przekonaniu, że jako człowiek ambitny sam sobie poradzi. No i tak się stało, ale na zupełnie innym terenie, choć właśnie za sprawą plakatów które tak się spodobały Irenie Byrskiej, że zaproponowała Mądzikowi zaprojektowanie scenografii do wspomnianej już „Wandy”. Duch plakatów i poetyka ikony miały zresztą organizować i późniejsze, już całkowicie samodzielnie realizacje sceniczne Mądzika, czego jednym z dowodów wizerunki Pantokratora w „Ece homo” (1970) i „Wiłkach” (1973).

W latach studenckich uprawiał też Mądzik malarstwo.

W tamtych czasach i później, aż do roku 1972, on nawet żył z malarstwa wykonując na deskach obrazy „ikonowate”, za które otrzymywał 400—500 zł, podczas gdy za pokój przy ul. Nowogrodzkiej, w pobliżu obecnego mieszkanka przy Piastowskiej, płacił miesięcznie 300 zł. Najwięcej zarobił jednak, samofinansujący się obywatel, na malowidłach, którymi pokrył ściany dwóch kościołów wiejskich: w kieleckim Stożewsku i w Kopciach, gdzie koło Węgrowa, w kierunku na Terespol. Zrealizowane w technice kafelkowej, ciągle są w doskonałej kondycji, czemu zresztą trudno się dziwić, albowiem farby sprowadził Mądzik z zagranicy. Ponadto, we Włoszczowie wymalował Droge Krzyżową, a w kaplicy domu studenckiego przy ul. Sławińskiego 8 w Lublinie pozostawił witraże i chyba coś jeszcze, co po-



„Pętanie”

Fot. Stefan Ciechan

ściola i klasztoru na Sw. Krzyżu, gdzie też został ochrzczony. Wiadomo, ziemia to piękna, pokryta Puszcza Jodłowa, wpisana w legendę narodowa przez Zeromskiego, ale też krwawo doświadczona przez historię. Stamtąd wyniósł w oamięci pewien obraz, który — jak dzisiaj twierdzi — wprowadził po latach do jednego ze swych spektakli. „Pomysłu do „Wędrownego” dostarczyło mi niezwykle mocne przeżycie, jakiego doznałem zwiedzając podziemia klasztoru, gdzie umieszczone były krypty zakonników. Na zewnątrz panowało jaskrawe słońce i gwar ludzki, w podziemiach mrok i cisza. Nagle w ciemności, pomiędzy kryptami, coś się poruszyło, przecięło gwałtownie kontury. Ptak? kot?... życie!... Ten kontrast został w spektaklu”.

Dodajmy, że motyw krypty i ruchomych szkieletów w trumienach pudłach pojawia się też w „Pętaniu”, najnowszej inscenizacji Mądzika.

Przypadkowo dowiedziawszy się, że na KUL-u istnieje coś takiego, jak historia sztuki, pojawił się na egzaminie wstępnym z licznymi obrazami, czym zaskoczył innych kandydatów, którzy orientowali się, że tu trzeba pisać o sztuce, a nie sztuka sama. Traf jednak chęć, że zasiadający w komisji ks. prof. Smoleń zaczął przepływać delikwenta na okoliczność zademonstrowanej mu reprodukcji obrazu Marcina Czarnego „Opłakiwanie”, którego własnoręcznie konie zastawił Mądzik pod drzwiami sali egzaminacyjnej. Zaczem kopnął się kandydat na korytarz i biegiem wtaszczył wszystkie swoje malowidła. Egzamin zdał, został studentem formuły eksternistycznej.

Podczas studiów Mądzik nasionował się plakatami. Obserwował krakowskie biennale, śledził twórczość Lenicy, Młodożeńca, Swierzego, wykonywał plakaty do filmów — ale głównie dla własnej satysfakcji, czasami tylko na

zostawiam trójkątem jego twórczości. Podczas tych robót ciągle więc obecował Mądzik z ceremoniałem życia i śmierci, był mimowolnym świadkiem chrztów i uroczystości pogrzebowych, pięknych ślubów i upokarzającej pokuty na kościelnej posadzce — w przestępni dramatycznie rytmizowanej światłem witraży i reflektorów, wibrującej dźwiękiem organów. I ten właśnie teatr — tyle sakralny, co zwyczajnie ludzki — nie mógł pozostać bez wpływu na przesłanie i konstrukcję scenicznych poczynań autora „Wieczery”. W żadnym jednak przypadku, mając zwłaszcza na uwadze premiery z minionych dziesięciu lat, nie znajduję powodów do uznania teatru Mądzika za kreację zorientowaną ideologicznie, wyznaniowo i zgodną się z tymi kryteriami, którzy w realizacjach Sceny Plastycznej znajdują wizualizację emocji artysty — człowieka uformowanego w takim a nie innym okresie historii, zalecanym lękiem egzystencjalnym.



# Gleba dla bluesa

## Rozmowa z Ireneuszem Dudkiem

Siegał czasami Mądzik po teksty innych autorów: w „Piętnie” uwyraźnia się inspiracja filmową „Siódmą pieczęcią” Bergmana, w „Ikarze” (1974) — ciałem obrazem Bruegla. Ale to odziany obrazem przeszłości. Obecnie, od dawna, artysta wręcz przyryka oczy na różne fakty z pola kultury symbolicznej, bez tenady przyznaje, że nie czyta książek, nie ogląda przedstawień w innych teatrach. Jeśli „zapożycza się”, to u natury i w rejonach życia codziennego. Notuje w pamięci np. szmer wody w studzienki i piachu zsuwającego się z wywrotki, skrzyknięcie ławek kościelnych podczas wstawania ludzi, fantazyjną konfigurację światła reflektorów w trakcie nocnej jazdy samolotem (którą notabene wykorzystał w „Wędrownych”). Tak Mądzik twierdzi, „ale mnie trudno jakoś uwierzyć, że udało mu się całkowicie odciać np. od telewizji.

Jedno nie ulega wątpliwości: że ten wszechstronny artysta stracił zaufanie do słowa. Zrezygnował zeń nie tylko na scenie, ale także w pracy nad... scenariuszem! Po prawdzie, materiał taki przygotowywał głównie ze względów porządkowych, by przedłożyć go w odpowiednim urzędzie. W rezultacie scenariusze Mądzika zajmują pół strony maszynopisu („Pętanie”), albo i mniej. Sztuka powstaje niejako w marszu, bezpośrednio na planie, bywa, że „na wstępnym biegu”, to znaczy od wizji finału do początku spektaklu. Całość budowana jest z osobno opracowywanych kadrów, łączonych na zasadzie montażu filmowego, przy czym nad jedną 3-minutową sceną zespół, obecnie 12 osób, śleczy i trzy dni, co ma przecież i tę dobrą stronę, że pozwala wszystkim na dokładne opracowanie struktury poszczególnych elementów i zapamiętanie ich miejsca w przedstawieniu. Długo też trwa „doświadczanie” materii przedmiotów wybranych do spektakli, przeciętnie dwa miesiące, oraz komponowane światła, które pełni w teatrze niezwykle ważną rolę, choć opiera się na bardzo prostej technice. Publiczność na Zachodzie jest przekonana, że Scena Plastyczna wykorzystuje w tym celu jakieś nowoczesne i wymyślne urządzenia, jako to lasery i komputery, podczas gdy są to raczej bajery: zwykłe żaróweczki, reflektorki, połączone z pulpitem dyspozytora węzłowym kablami, które w miarę wpływu czasu i zgodnie ze zmianą sytuacji trzeba pospiesznie związać, albo rozwijać. Światło to domena samego Mądzika, który śledząc przedstawienie od strony widowni, uzbrojony w słuchawkę i mikrofonik, wydaje polecenia koledze przy pulpicie ulokowanym na zewnątrz sali i tym sposobem niejako maluje światłem obrazy sceniczne.

Ważną funkcję, konstrukcyjną i emocjonalną, pełni tu również muzyka, specjalnie komponowana do każdej nowej premiery, muzyka — podkreślmy — oryginalna, nie żadne tam jakieś kompilacje znanych utworów. Jej autorem jest zazwyczaj Jan A.P. Kaczmarek, którego Mądzik poznał dziesięć lat temu, na „famie” w Swinoujściu, gdzie nawiasem mówiąc, zaśpiewała mało wtedy znana Hanna Banaszak, dziś wokalistka i kobieta jak się patrzy.

Po premierze Mądzik wylacza się ze spektaklu, trwającego zwykle 30-40 minut, składając jego losy w ręce zespołu, który w przypadku „Pętania” składa się z takich osób jak: Jerzy Długozima, Elżbieta Jabłońska, Barbara Kamińska, Jan Kawecki, Janusz Kropornicki, Stanisław Makara, Waldemar Mirek, Piotr Zieliński i Liwia Mądzik, licząca pięć lat córka szefa. Autorem rzeźb jest Eugeniusz Gutkowski, światłem i dźwiękiem zajmuje się Marek Czerniak. Poza małolatami, są to studenci KUL-u.

Nie starcza miejsca na omówienie warsztatów teatralnych, zrealizowanych kilkakrotnie przez Mądzika w Polsce i kilku innych krajach europejskich, jak i na bliższą prezentację założonej przez niego w początkach 1986 roku Galerii Sztuki Sceny Plastycznej KUL, swoim programem dystansującej inne takie placówki w mieście, choć ulokowanej w bunkrze o wymiarach około 9 na 5 metrów (zaliczonym często przez wyidealizowanych).

Muszę jednak odnotować także jeszcze wyznaczenie Leszka Mądzika, które pokrywa się z moim przeświadczeniem: — Sztuka wymaga dyscypliny wewnętrznej, organizacji formalnej, pracy. Sam krzyk, spotęgowany nawet aktem autodestrukcji, nie daje biletu do sztuki, jak tu i ówdzie nadal się sądzi.

Ireneusz J. Kamiński

— Zwykle się o tobie pisze: ulubieniec publiczności, zdobywca „Złotej Płyty”, laureat festiwalu. W ubiegłym roku pożegnałeś oficjalnie zespół Shakin Dudi, a niedawno zaskoczyłeś wielbicielek ślubem z modelką Iwoną Mołińską. Czy czujesz się człowiekiem sukcesu?

— Przyznam, że nie miałem dotąd czasu, by się nad tym zastanawiać. Z estradą związany jestem od wielu lat, grałem w wielu kapelach, ale dopiero teraz zaczynam pracować na własne konto. Pochłania mnie muzyka. Mam wiele ciekawych planów, do spełnienia których potrzeba mi dużo czasu. Tego, niestety, brakuje mi najbardziej. Prowadzę big band bluesowy, tworzę zresztą nową kapelę The Dudis, udzielam się przy organizacji festiwalu Rawa Blues, a ostatnio także przy tworzeniu klubów bluesowych na Śląsku. W zanzardzu mam jeszcze rolę filmową i propozycję napisania muzyki do filmu. Jak widzisz, nie mam zbyt wiele czasu na rozmyślanie o sukcesie.

— Przyznasz jednak, że pomysł okazjonalnej grupy Shakin Dudi i nagrania „Złotej Płyty” okazał się trafiony w dziesiątkę...

— Możesz wierzyć lub nie, ale nie spodziewałem się takiej reakcji publiczności. Zawsze ogromnie lubiłem rock and rolla. Kiedy koledzy zaproponowali mi jednorazowy występ w roli faceta przypominającego dawne kawałki, zdecydowałem się zaśpiewać na „Rock Arenie”. Od początku do końca miał to być pastiszowy luz. Publiczność przyjęła mnie gorąco i bardzo serio. Nie dostrzegano drwiny w piosence „Au sza la, la” i „Opakowanie pierwsza klasa”, choć ja się chciałem tylko dobrze zabawić. Przebrałem się z kolegami w niemodne garnitury, graliśmy wyraźnie dla zgrzywy, a mimo to okrzyknięto nas rewelacją kilku festiwalu. Czy mnie to lechtało? Chyba nie, choć wychodząc na scenę liczyłem na akceptację słuchaczy. Momentami denerwował mnie brak krytycyzmu nastolatków, wpadających w cielesy zachwyty przy wyraźnej kpiących numerach „To ty słodka” czy „Och Ziuta”. Przekonałem się o bardzo mizernym guście i małym wyrobieniu muzycznym publiczności. Gotowa byłaby kupić największy bełkot słowny, byle tylko efektownie opakowany.

— Mam nadzieję, że nie wykorzystasz stałej chulturniczej okazji?

— Nie, choć obrotny impresario mógłby zblić na koncertach naszej kapeli ciężki szmal. Nie rzucaliśmy się jednak w wir biznesu, nie ulegliśmy dyktatowi mody. Może dlatego, że jestem przeciwnikiem tasienkowców, o-



Fot. Adam Trochimiuk

głupiających muzyków tras. W sumie zagraliśmy niewiele koncertów. Najdłuższa trasa, firmowana przez białostocki „Artex”, liczyła zaledwie 19 występów. Byłem z nich zadowolony, a żaden z kolegów nie mógł odczuwać przemęczenia, które uniemożliwiłoby mu realizację innych pomysłów. Muzycy, z którymi współpracowałem, udzielali się w różnych kapelach. Tak jest zresztą do dziś.

— Zechciej wyjaśnić, co było powodem „umierzenia” Shakin Dudiego. Publiczność, jak wspomniałeś, darzyła go ogromnym sentymentem.

— Chciałem być uczciwy wobec ludzi i samego siebie. Przyznasz, że ładniej wycofać się z uczuciem niedosytu niż niestrawności. Obawiałem się, że po pewnym czasie ludziom przejdzie się Ziuta, Czerwony Kapturek i Słodka Dreyczycielka. Chciałem spróbować czegoś nowego w innej, może atrakcyjniejszej formie.

— Ponoć program jest już gotowy?

— Tak, jednak nie ujawniam go do premiery płyty. Płyta zatytułowana „The Dudis” ma być niedługo gotowa. Z Dudis wracam do brzmienia lat sześćdziesiątych, owego wspaniałego klimatu Trogów, Animalsów, Stonesów. Nie będę ich wcale pastiszował, ale grał podobnie, z dużym wykopem. Myślę, że program przypadnie fanom do gustu.

— Kilkakrotnie w naszej rozmowie przewijał się temat bluesa. Przypuszczam, że przykładasz do niego dużą wagę.

— Blues jest moją wielką namiętnością. Zawsze marzyłem, aby go grać i śpiewać. Jeśli tego nie robiłem, to tylko dlatego, że do bluesa trzeba dojrzeć, zrozumieć jego klimat i feeling. Nie próbuję rywalizować z Nalepą, bo zupełnie inaczej widzę śpiewanie bluesa. Zazwyczaj próbują go interpretować ludzie, którzy nie mają pojęcia o śpiewaniu, nie czują frazy. Podejmując się organizacji Rawy, próbuję to tłumaczyć młodym ludziom, pokazywać im piękno tej muzyki, a jednocześnie jej wyrafinowany schemat. Grając bluesa od podstaw można się bardzo wiele nauczyć. Pisało się swego czasu o wielkiej modzie na blues i odzwiecie ze strony młodych instrumentalistów. Gleba dla bluesa jest wciąż sprzyjająca, ale wykorzystuje ją z pożytkiem niewielu muzyków. Spróbuj zresztą zauważyć, kto u nas profesjonalnie parę się tym stylem. Mam cichą nadzieję, że ujawnią się jeszcze młode talenty, autentycznie zauroczone muzyką dwunastu taktów, gotowe zgłębiać jej tajniki i szlifować powoli warsztat. Rawa jest ku temu znakomitą okazją.

— Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia.

Rozmawiał: Istvan Grabowski

## Byłeś w GUM-ie?

Dokończenie ze str. 3

### Towary i ludzie

Podwojenie sprzedaży osiągnięte w okresie ostatniego dziesięciolecia jest aż nazbyt dostatecznym wskaźnikiem — zdaniem Ludmiły Sidorowej — aby zrozumieć, jak zmieniło się życie obywatela radzieckiego. „Weźmy sprawę obuwia — mówi z pasją Sidorowa. — Jeżeli przed piętnastu laty moskiewska kobieta miała dwie pary butów, jedną na lato i drugą na zimę, dziś ta sama kobieta ma ich cztery lub pięć. Zamierzamy dojść do śledztwa par butów na osobę. Jeżeli dziesięć lat temu naszym celem było zaspokojenie popytu na rzeczy niezbędne, teraz musimy badać, jak ubrać człowieka, który już jest ubrany. W Związku Radzieckim ludzie zaczynają starać się o dobre skomponowanie stroju, rośnie pojęcie mody i zmniejsza się troska o to, aby za dużo nie wydać. Ludzie chcą wydać więcej, a przede wszystkim chcą wybierać. Przynajmniej do wyboru tworzy i oznacza pewien dobrobyt. Jesteśmy z tego powodu szczęśliwi”. [...]

Wokół fontanny GUM-u, która wytryskuje w połowie głównego korytarza, w miejscu, gdzie jest on połączony z pozostałymi dwoma, są cztery „działy o wysokich cenach”: zegarmistrzowski, perfumeryjny, pamiątkarski i jubilerski. Ceny są wysokie i nie ma kolejk. „Są to towary, których ceny mogą wzrosnąć w porozumieniu z przedsiębiorstwami produkcyjnymi — mówi dalej Sidorowa. — Jeżeli towar jest bardzo poszukiwany, jeżeli nie jest artykułem pierwszej potrzeby, wówczas podnosimy ceny. W ten sposób nie szkodzimy przeciętnemu nabywcy i nie tworzymy kolejek. Każdy przedmiot luksusowy ma swój odpowiednik na niższym poziomie. Jest zegarek luksusowy i nieluksusowy, futro luksusowe i nieluksusowe. Kiedy się różnicuje, rzadko się zdarza, aby jakiegoś produktu zabrakło”. [...]

„U nas towaru brakuje wówczas, kiedy jakaś fabryka nie dotrzymuje podjętych zobowiązań — mówi dalej Sidorowa. — W takim przypadku musimy nabywać za granicą, w krajach socjalistycznych albo na Zachodzie. Z Berlina Zachodniego i Austrii ubra-

nia i obuwie, z Włoch i z Finlandii bieliznę i przedmioty wełniane, z Francji perfumy... Wie pan, że włoskie buty są bardzo cenione w Związku Radzieckim”.

### A jak kupują młodzi?

Mimo że w GUM-ie twierdzą, że „jest ich mniej, odkąd otwarto Molodiozny GUM specjalnie dla nich”, młodzieży widzi się sporo. Gromadzą się na przykład przed działem płytowym, aby sobie zapewnić LP — płyty są naprawdę tanie — wielkiego piosenkarza-autora Władimira Wysockiego, poety przedwcześnie zmarłego i zbyt późno akceptowanego. Albo jakąś płytę Dalidy, Ricchi Poveri, Rominy i Al Bano, Toto Cutugno („Gdyby tak było więcej Celentana — mówią — tu jest natychmiast wyczerpany”).

Albo też kręcą się w tłumie młodzi i jak inni marzą o jakiejś za drogiej rzeczy. Urzeczonych samym pragnieniem, odnajdujesz ich przed kolorowym telewizorem (400 rubli), albo radzieckim zegarkiem elektronicznym (50 rubli). Po chwili się wynoszą. Wielki tłok w dziale z perfumami, gdzie mężczyźni i kobiety wachają wszystko, dopóki nos jeszcze rozróżnia zapachy. Zdaje się, że bardzo lubią radzieckie perfumy o nazwie „Intryga i miłość”.

### DRŻYJCIE MĘŻCZYŹNI!

**HASŁO „MODY POLSKIEJ”:** „Lawujemy trendy mody światowej” nadal nie traci na aktualności. Oto, co czeka was i wasze kobiety w ciągu najbliższych miesięcy. Letnie dziewiarstwo z importu, włoskiej firmy „Sima”. 32 atrakcyjne wzory, zaprogramowane przez komputer, w cenie od 36 do 42 tysięcy złotych za jeden. Modne, iakardowe wzornictwo, bogata kolorystyka, wysokie parametry jakościowe; stroje mają w składzie surowcowym przeżycie włókien naturalnych. Już teraz można nabyć, za jedyne 45,5 tysiąca, przepiękny kardigan, w którym mieści się aż 60 procent angoru. Czarne lalkierki — marzenie większości kobiet — stoją również w dużym wyborze na półkach salonów całego kraju. Można je kupić bez kolekcji. Cena — ponad 23 tysiące. Męskie, trochę droższe. Tym, którzy nie dysponują takimi kwotami, radzę nieco zaczekać. Gdy przyjdą upały, będzie można ubrać się w kostium kąpielowy firmy „Triumph” za niewiele siedem tysięcy. A najlepiej chodzić nago. To nie nie kosztuje i można na całym świecie.

**GDZIE JAK GDZIE,** ale w naszych autobusach dalekobieżnych dba się o porządek. Kupujemy dajmy na to, dwa bilety: dla siebie i swojej narzeczonej, bu jechać z nią do stolicy i porządek Pałac Kultury. I oierzamy się do tej pory, dopóki bilety spokojnie snoczywają w kieszeni. Mina rzędzie nam dopiero z chwila wejścia do autobusu. Bo okazuje się, że właśnie mamy miejsce nr 8 i 9, które znajdują się dokładnie jedno za drugim, lub nr 9 i 10, czyli po przeciwnych stronach autobusu. Jesteśmy więc z narzeczoną rozdzieleni i nie możemy jej szepnąć w drodze czułych słówek, tak jak to sobie wcześniej zaplanowaliśmy. Podobne sytuacje zdarzają się, matce z dzieckiem, mężowi z żoną i tak dalej. Często więc po wejściu do autobusu pasażerowie zamieniają się miejscami, co tworzy niepotrzebny bałagan. A pani w okienku kasowym skrupulatnie i po kolei wpisuje do diagramu kolejną sprzedany bilet, akurat po to, żeby bałaganu uniknąć.

**ZAINSTALOWANE W URZĘDACH** pocztowych automaty informujące o rodzajach i cenach usług pocztowo-telekomunikacyjnych obiecywały — już na sam widok — usprawienie pracy tychże placówek, europeizując je — niekiedy. Ot, naciskał człowiek klawisz i miał czarno na białym wypisana cenę znaczków lotniczych do Kanady i Zimbabwe. Naciskał dalej i miał, jak znalazł, wzór na wypełnienie różnych przekazów, awizo, telegramów imiennowych i żalobnych, przekazów paczkowych i pieniężnych. Najbardziej jednak urządzenie owe cieszyło dzieciarnię, która wyżywała się w wertowaniu automatycznego informatora. Dorośli na wszelki wypadek pytali w okienku. I słusznie. Rozgalopowane ceny za usługi pocztowo-telekomunikacyjne dużym kołem omiłał bowiem zaczęły zapiąć w automacie. Z ich wydrukiem nie nadają widać i specjalista. Automaty wyłączone z kontaktów, a na ich obudowie postawiono doniczki z zieleniną (vide: UPT przy ulicy Juranda).

Dobrze choć, że panie i panienki z okienek robią sobie odręczne ściągawki z cen za znaczki i inne pocztowe usługi, coraz to droższe i coraz bardziej archaiczne w swej organizacyjnej

**KRÓTKA, KWIETNIOWA WYCIECZKA** po tak zwanym trójkacie turystycznym: Naleczów — Kazimierz — Puław wydała dość smutne obserwacje i doświadczenia. Jeśli nie nanotowaliśmy jej na twardo, nie zrobiliśmy twarogów ze szczyptorem, nie rozzieliliśmy ze sobą chleba, to zwiędzając owe perły turystyczne naszego województwa, nie mamy szans pożywienia się w czasie weekendu w miejscowych placówkach gastronomicznych — jak nie remontu, to wesela. I choćby nam kieszki marsza oraly na cały regulator, nikt nam miski strawy w tych zakładach nie dochyba że po odczekaniu kilku godzin wieciecowskich, ale czy wtedy coś jeszcze w kotle zostanie? Na tej trasie dla indywidualnych turystów, a także i nie zgłoszonych grup, nie ma „łojca” — wysokie ceny, brak miejsc, nieliczne i nieciekawe lokale. Taka jest gastronomiczna rzeczywistość tego terenu.

(dey)

# Bojownik drobnej wytwórczości

Dokończenie ze str. 1

— Na ile możliwe będzie wdrożenie tej umowy do życia, jeśli oczywiście zostanie ona w ogóle przyjęta? Wiadomo bowiem, że również dzisiejsze przepisy zezwalają na wiele, lecz niewiele się z tego realizuje.

— Naturalnie, trzeba najpierw tę umowę zawrzeć, a byłby to dopiero pierwszy krok. Jest to dopiero warunek wstępny, byśmy mogli wypracować taki status drobnej wytwórczości i usług, który odpowiadałby naszemu społeczeństwu. Według mojej oceny, należy rozwiązać jeszcze kilka kwestii, a przede wszystkim sprawę polityki podatkowej. Jeżeli nie wprowadzi się do niej głębszych zmian, nie będzie z rozwoju drobnej wytwórczości.

— Co należałoby zmienić?

— Przede wszystkim polityka podatkowa powinna być długofalowa, dotychczas była bowiem niestabilna i nie dawała żadnych gwarancji dla długofalowych inwestycji. Wiadomo, że istnieje niewspółprowalność w obciążaniu podatkami i odpisami, tak że obciążenie prywatnych wytwórców było większe niż w społecznym. Wszystko to zmniejszało ludzi, czuli się oni niepewnie. W ustalaniu podstawy podatkowej nie uwzględniano amortyzacji ekonomicznej, a co dopiero mówić o inwestowaniu w rozszerzoną reprodukcję. Sporny jest poza tym podatek, ponieważ progresja jest tak duża, że nikomu nie opłaca się rozszerzać produkcji. Dlatego mamy sytuację, w której nawet ci najlepiej prosperujący zatrudniają wszystkiego trzech pracowników, bowiem każde nowe miejsce pracy stwarza większe ryzyko i niewiadomą.

— Uważa pan więc, że podatki są zbyt wysokie i nie pełnią roli bodźca?

— Polityka podatkowa jest wyjątkowo „antybodźcowa”. Moim zdaniem, „prywatyzm” należałoby umożliwić osiąganie zarobków kilkakrotnie większych od wynagrodzenia najwyższych urzędników w gminie. Od razu przy tym trzeba zaznaczyć, że nawet to nie byłoby realnym zróżnicowaniem, ponieważ rzemieślnicy nie mają takich przywilejów jak funkcjonariusze gminni. Należy też wspomnieć o negatywnym oddziaływaniu inflacji, która spowodowała, że niektórym rzemieślnikom wartość wyłożonych środków spadła nawet i dziesięciokrotnie w ciągu tych kilku lat. Wbrew próbom rozwoju drobnej wytwórczości, pewne oświadczenia nie napawają otuchą. W obecnej trudnej sytuacji ekonomicznej usiłuje się ciężar wyhodowania z kryzysu przenieść z gospodarki społecznej na ludność, a w skrajnym wypadku oznacza to, że na drobna wytwórczość. Trudno jest natomiast złapać tych, co pracują „na lewo”, a więc cały ciężar znowu spadnie na tych, co pracują legalnie.

— Zgadza się z panem, że niektórzy rzemieślnicy są nadmiernie opodatkowani, jednakże inni „prywatyzm” szybko się bogacą. Jak to jest możliwe, by komuś w ciągu roku zwrócił się cały zaangażowany kapitał i jeszcze zaczął przynosić zysk? Co to za polityka podatkowa?

— Jest to możliwe szczególnie w gastronomii, dlatego, że nie istnieje konkurencja, dlatego, że nie dopuszcza się do większej liczby takich przedsiębiorstw. Aby absurd był jeszcze większy, niektóre

gminy ustalają sobie, że w środowisku miejskim nie może być więcej niż trzy obiekty. A to jest przecież idiotyzm, głupota, trzeba bowiem stworzyć konkurencję, a nie umożliwiać jednostkom zajęcie monopolistycznej pozycji.

— Czy to przypadkiem nie kafejki i to, co się z nimi dzieje, skompromitowały ideę drobnej wytwórczości i usług?

— Ludzie inwestują w to, z czego będą czerpać większy zysk. Jest to logika rynku i dokąd kafejki będą przynosiły duże pieniądze, większe niż działalność produkcyjna, ludzie będą w nie inwestować. [...]

— Pewne nielegalne działania, wysokie ceny, kombinowanie, unikanie opodatkowania itp. prowadzą do tego, że często drobna wytwórczość widzi się w ujemnym świetle?

— Był czas, że o sektorze prywatnym mówiło się tylko jak o przestępstwie, a wszystko to właśnie zgodnie z ową dogmatyczną linią, która widzi w nim zło i wroga socjalizmu. Powtarzamy: trzeba zdefiniować politykę podatkową. Przychodzą do mnie ludzie i mówią otwarcie: „Muszę oszukiwać, bo gdybym płacił wszystko, czego się ode mnie żąda, musiałbym zamknąć warsztat”.

— Wokół drobnej wytwórczości toczy się wiele sporów ideowych. Jedni widzą w niej jedyne wyjście z kryzysu, inni znów mówią o powrocie Jugosławii do kapitalizmu?

— Jest to wyjątkowo złożona kwestia, dotyczy fundamentalnych problemów socjalizmu aż po pytanie, co to jest socjalizm. Centralny problem polega natym (a nie dotyczy to tylko drobnej wytwórczości), że my jako społeczeństwo nie uznajemy prawa wartości i produkcji towarowej. Jak wiadomo, Marks, Engels, a następnie Lenin aż do NEP-u, uważali, że w socjalizmie nie będzie działało prawo wartości. Wprowadzeniem NEP-u Lenina dokonał wielkiej „rewizji” dotychczasowych poglądów klasyków, lecz po jego śmierci odrzucono ją. [...] Towarzyszył temu dogmat, że produkcja towarowa rodzi kapitalizm. [...] Musimy jednak przyznać, że egalitaryzm jest mocno zakorzeniony w naszej świadomości, w świadomości większości obywateli i klasy robotniczej. Tej ideologii jednakowych żołądków, tej spuścizny dogmatyzmu sprzyja również nasza obecna struktura gospodarcza.

— W czym jej sprzyja i dlaczego?

— Rozwinęliśmy ekstensywny system produkcji, mało wydajny, z wielką liczbą zatrudnionych, niedoimy do wyjścia w świat, operujący się w dużym stopniu na monopolu. Z pewnych danych wynika, że aż 70 proc. naszej gospodarki żyje, a właściwie wegetuje, dzięki monopolowi czy to gminy, czy republiki, czy federacji, nie podlega supowym cięsom rynku. Jakże są to monopole i ile ich jest, najlepiej chyba ilustruje przykład z Siłką, gdzie pewien człowiek chciał stworzyć prywatną piekarnię, lecz zrobiono wszystko, by mu przeszkodzić. To już nie jest polityka, to głupota. Powtarza się to, co się stało przed dziesięć laty i więcej laty w Slavonii, gdzie otwierano piekarnie społeczne i pozamykano wówczas prywatne, gdyż stanowiły konkurencję. Ile szkody wyrządziły dogmatyczne poglądy, wskazuje też fakt, że w produkcji tej samej ilości niektórych artykułów kombinaty rolne inwestują nawet do dziesięciu razy więcej niż chłop. [...]

— Powtórzmy może do punktu wyjścia naszą rozmowę, do inicjatywy Mikulićca?

— Spotkanie to znalazło pozytywny odzew, ale nie jestem pewien, czy można będzie zrealizować wszystkie obietnice Mikulićca. [...] Jeśli chodzi o apel, by [gastarbeiterzy — przyp. red.] składali swe oszczędności w naszych bankach, nie jestem pewien, ile z tego będzie pożytku, gdy nadal będziemy nieustannie zmieniali system oszczędzania i płoszili klientów. Twierdzą, że gdybyśmy prowadzili w tym zakresie rozsądną politykę, w jednej chwili tylko w Chorwacji ludzie wyciągnęliby z „pończoch” kilkaset milionów dolarów. A jak mają to uczynić, kiedy przedstawiciele władz wciąż straszą obywateli kontrolą pochodzenia dewiz? Sądzę, że najwięcej można by zrobić dzięki wspólnemu inwestowaniu, lecz nie w tak skomplikowany sposób, jak to przewiduje ustawa o pracy zrzeszonej. Należałoby wprowadzić jakiś uczciwy system spółek akcyjnych, socjalistyczny system akcyjny, który umożliwiłby przyciągnięcie nie tylko środków obywateli przebywających za granicą, lecz i tych z kraju. Ale także w tym względzie napotykałyśmy opór, padają twierdzenia, że spółki akcyjne to zarobek bez motyki, rentierstwo.

— Na ile realne jest zagrożenie — a ciągle się o nim mówi — że pańskie propozycje postawiłyby pod znakiem zapytania pewne fundamentalne zasady społeczne, lub że doszłoby w ich wyniku do jeszcze większego rozwarstwienia społecznego?

— Takie zagrożenie istnieje, ale do rozwarstwienia musi dojść. Musimy wiedzieć, kto dobrze pracuje, a kto nie. To się musi wydarzyć również w gospodarce uspołecznionej, bowiem obecna „urawniłowka” i utrzymywanie deficytowej i mało wydajnej produkcji, tworzenie na jej podstawie dochodu, nie da nam postępu.

— A na ile realne jest zagrożenie, że utworzy się pewna warstwa — nazwijmy ich tak — drobnych kapitalistów? Jak powstrzymać kapital, który zawsze dąży do zapładniania i zniszczenia przestrzeni?

— Doład kapital ten siedzi przede wszystkim na społeczu, a w zbyt małym stopniu na nowo inwestycje, z których tworzyłaby się nowa akumulacja. Można to rozwiązać za pomocą systemu podatkowego.

— Nie zaprzecza pan, że w wyniku wprowadzenia akcji doszłoby do poważnych rozwarstwień, nawet wewnątrz klasy robotniczej?

— Proszę posłuchać, ktoś swe pieniądze przeje, ktoś przepije, inny kupi dobry samochód lub wile, a jeszcze inny zainwestuje w akcje...

— Lecz czy nie mają racji ci, którzy ostrzegają, że zakładanie fabryk z kilkoma setkami pracowników prowadziłoby do wzrostu i tworzenia się prawdziwych kapitalistów?

— Nikt nigdy nie wspominał o fabrykach z kilkuset robotnikami. Nie straszmy ludzi tym, czego nie ma. Aby przeszkodzić czemuś niewielkiemu, wymyśla się teraz czysty imperializm.

— Niektórzy twierdzą, że jeśli doszłoby do znaczącego rozwoju drobnej wytwórczości, najwięcej robotnicy odeszłyby do „prywatyzmu”, co byłoby niekorzystne dla sektora uspołecznionego.

— To znowu kwestia konkurencji. Robotnik idzie tam, gdzie może więcej zarobić. [...]

— Nie ma pan wątpliwości, że usiłuje się nam teraz oferować Gorbaczowa jako model, ideal, jakbyśmy byli daleko za nim i jego ideami, jakby i on nie uczył się również od nas?

— To, co się dzieje w ZSRR, jest dobre do lapania naszych opinii. Jeśli niektórzy machali ręką na to, co się dzieje w Chinach, to teraz owe przemiany w Związku Radzieckim przyjmują poważnie. W końcu pochodzimy z rosyjskiej szkoły.

\*) Premier B. Mikulić spotkał się w styczniu z grupą kilkudziesięciu przedstawicieli jugosłowiańskich pracujących na Zachodzie, by omówić możliwości wykorzystania ich kapitałów i umiejętności w gospodarce SERL. Szczególną uwagę poświęcono drobnej wytwórczości, ponieważ specjalistę upatrują w jej rozwoju największą szansę na zrealizowanie tych planów.

# Dojrzewanie spokoju

## ROZMOWA Z EDWARDEM HARTWIGIEM

Panie Edwardzie, okres lubelski w polskiej fotografii to, z jednej strony, fotografia portretowa, związana ze studiami w Wiedniu i pracownia prof. Kowitza, z drugiej zaś — pejzaż.

— Portretowanie to jest trochę nieważne, gdyż trzeba siedzieć w tej pracowni, zadomowić się, a tu skrzydła człowiekowi rosną, bo tam, za oknem kwitną drzewa, tam nastrój. Pogodzić tego nie sposób. Zona zaczęła robić portrety, a ja przeszedłem na pejzaż. Chociaż z tego pejzażu nie żyłem i nie żyję. Mnie można traktować jako pejzażystę-amatora, bowiem do tego tylko się dokłada. Czym ja się różnię od członka Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego albo innego towarzystwa? Tamci tak samo robią jak ja, tamci nie mają korzyści jak ja. Oczywiście od czasu do czasu coś mogę sprzedać. Teraz dostałem list z Huston. Ktoś się zainteresował i chce kupić sporo fotografii. Napisałem, kiedy te fotografie były robione, przeważnie z okresu lubelskiego. On mi odpisał, że nie wie, aby te wszystkie odbitki były robione przed wojną. Po papierze, strukturze bromu doszedł, że po wojnie i prosi o podanie daty, kiedy po wojnie odbitki zostały wykonane. Taka orientacja mnie imponuje. To nie jest płytkie, to jest absolutne znawstwo. To jest człowiek, który tym się zajmuje i zbiory gromadzi.

Byłem teraz na plenerze mazurskim i nieskromnie powiem, ale koleżdy fo-

tografowie byli zaszokowani moimi fotografiami. Pierściński i inni mówili mi, że to jest wydarzenie, że moje pejzaże są doskonałe. A jak przyjechałem, śmiali się ze mnie, z czym przyjechałem. Miałem najgorszy aparat. Kiedy inni szaleli, prawie aparatu nie otwieralem. Poszedłem cichutko i spokojnie, gdyż nie lubię fotografować w stadninie. Nie jestem żadnym samoludkiem. Jak chodzę kiedyś z Orłowiczem, słynnym PTTK-owskim działaczem, który znał w Polsce każdą ścieżkę, to zawsze szedłem albo dwadzieścia metrów przed grupą albo dwadzieścia za grupą. W grupie nie można tworzyć. Można dyskutować, rozważać, organizacyjnie się trzymać. Twórcą to odludek.

— Czy pan się ze mną zgodzi, że po wojnie w polskiej fotografii był odwrót od pejzażu?

— Bardzo dobrze, że pan to poruszył. Powiem więcej: była to nawet sprawa wstydliwa. Ci, którzy uprawiali pejzaż, byli wyłączeni z kręgu aktualnych fotografów czy znaczących fotografów. Była degradacja pejzażu, absolutna degradacja pejzażu. Zresztą nie tylko polskiego. Nie chcę tutaj obciążać Zbigniewa Dłubaka, raczej wpłynęła na to jego indywidualność, jego grupa, czy stadnina, która chciała przełamać konwencjonalną fotografię na korzyść pewnych poglądów współczesnych. Im się to udało. Ruszyli sprawę

do przodu, ale ruszyć sprawę do przodu wcale nie znaczy przekreślić to co było. Był taki okres, kiedy stawiano się na poszukiwania. Poszukiwania, awangarda są potrzebne, zapładniają. Nawet w pejzażu to pomogło. Ale raz — że to była mała garstka. Po drugie — nie miało to odbiorców. Było ekskluzywne. Nie jestem przeciw ekskluzywnemu robieniu sztuki. Spadła jednak frekwencja na wszystkich wystawach kiedy przedtem były tłumy. I wcale nie dlatego, że przedtem był pejzaż.

Trzeba powiedzieć, że jednym z bohaterów tej historii był Paweł Pierściński, który po cichu, w Kielcach, niezależnie od presji nie ugął się i stworzył grupę kielecką. Nie mówię: szkoła kielecka. Może kiedyś powiem, jaki jest mój pogląd. To nie jest atakowanie na „nie”. Po prostu zebrała się tam grupa zdolnych, ambitnych ludzi i pejzaż robiła. Kiedy nastąpił przesyt awangardowych poszukiwań kiedy akumulatory się wyczerpały. Pierściński trafił jakby z pełnym magazynkiem.

Od wielu lat juroruję na wszystkich kieleckich Biennale Krajobrazu. To nie tylko ładne pejzaże ale i tragiczne, związane z ochroną środowiska. Jest dewastacja, są rzeczy przykre. Dokument, a jednocześnie w tej brzydocie jest coś tragicznie wstrząsającego. Jeżeli wspomni pan o pejzażu, to dzisiaj jesteśmy na takim poziomie i w takim okresie, kiedy kompleksu pejzażu nie ma.

— Panie Edwardzie, znakomity warsztat, ogromne doświadczenie, sukcesy, nie w powojennej polskiej fotografii nie było panu obce. Gdyby od jutra rozpoczął pan fotografowanie, co byłoby problemem podstasowem?

— Wydaje mi się, że jak się już ma kupić lat (78) i człowiek czuje się zwolniony z zabiegów o „bytowanie” to przychodzi ciekawy okres zadumania. Refleksji, kontemplacji. Jest teraz we mnie dojrzewanie spokoju. Nikt mnie już nie goní, nareszcie mogę przemyśleć, co zrobiłem, gdzie jestem i co jeszcze mogę zrobić. Chyba każdy uważa, że możliwości ma, ale trzeba je realnie obliczyć. Jest w tym pewna prawidłowość. Wie pan, jestem na takim etapie, że chciałbym fotografować od początku. Zupełnie od początku. Np. tutaj, gdzie teraz siedzimy stoi szafka. Nie widziałem jej przez 30 lat. Zaczęłam ją fotografować robić rytmy otwierając drzwi jedne, drugie poruszone itd. Takie ćwiczenia plastyczne gdyż w sensie dokumentu nie przecięż nie odkrywam. Być może to jest dokument, ale ja rozprawdzam go na pewien cykl. Budowanie przestrzeni w sposób inny, nowy.

Wziąłem dwie kartki papieru i zacząłem proste rzeczy: skręcanie, wyginanie. Może wracam do akademickich ćwiczeń, studiów. Ćwiczenia na niepodogó, albo kiedy jestem w gorszej kondycji. Fotografowanie od początku, a później przerucam się na sprawy wyśmiałkowe. Zaczynam przyglądać się naturze jakby przez mały mikroskop. Nie całej architektury a samo okno faktura. To co chciałbym przedstawić — jeśli się uda — na dość dużej wystawie, będzie to fotografia inna. Potrzeba widzenia świata może nie rewelacyjnie, a jakby dodatkowo do tamtego, który tworzyłem.

Natur, last zawsze wracam z rozczuleniem do tej starej fotografii — nazwijmy ją — lubelskiej. Były to moje prywatne doznania, sprawy osobiste. Intuicja i świadomość w sztuce szalenie dużo znaczy. Jeszcze dzisiaj coś



Fot. Bogdan Tarasiuk

Edward Hartwig urodził się w r. 1908. Jeden z najwybitniejszych fotografików polskich. Jeden z założycieli Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego (1937) oraz Związku Polskich Artystów Fotografików (1947). Od roku 1918. związany z Lublinem. Autor wielu znakomitych wystaw i albumów. Twórca wszechstronny, zaliczany do grona dziesięciu wybitnych fotografików świata.

mnie wewnątrz rozrywa, ale mówię sobie: uspokój się, człowieku, pomyśl, gdyż tego wszystkiego nie zdążyś zrobić. Zrób to, co możesz. Nigdy nikogo nie chciałem naśladować i — wie pan — do dzisiejszego dnia mam przeciwników, ale się z tego cieszę. Jeśli się nie ma przeciwników, to się niczym nie jest.

Mam warsztat opanowany, mogę robić i tak i tak ale po co. Czasami młodzi zwracają się do mnie po poradę — Nie róbcie tego — mówię — Trzeba się sparzyć, na sobie doświadczyć. Kiedyś Jan Sunderland prosił mnie abym mu zrobił powiększenie z jego negatywu. Jakiś motyw fatrzański. Wykonałem powiększenie. Kiedy odbierał, mówi do mnie — Dziękuję ci że dałeś mi swoje zdjęcie, bo to jest Hartwig a nie Sunderland. Np. nie mógłbym robić portretów całe życie. Teraz robię heliografię. Nie wypieram się żadnego etapu w swojej twórczości. Cieszę się, że się co pewien czas — nie to że regeneruję — ale zmieniam. To byłoby zbyt nudne: robić coś dobrze i tukać przez parę lat. To dla mnie nie do przyjęcia, gdyby nawet to chwalono i przyjmowano. To jest siła, która mnie popycha do nowych poszukiwań. Jak pan zauważył, te poszukiwania nie są na siłę. Jest w nich — tak siebie osądzam — pewien spokój i ład. Mógłbym robić jakieś sztuczki — chociaż kiedyś wpadłem w taki worek, ale szybko się z niego wycofałem. Żałuję, że nie uprawiam fotografii barwnej. Pan się zapytał, co bym chciał zrobić. Pewnie przez dwa lata fotografuję czarno-białą i postawić kropkę, a później — kolor.

Rozmawiał:

Zdzisław Toczyński



Fot. Edward Hartwig

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopiczowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Andrzej Derecki, Wiesław Horzbił, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótu.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. KWN w Lublinie, ul. Ontka 4.

Wydawca: Sobotnia Spółdzielnia Wydawnicza RSW, Prasa — Książka — „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 330-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 21.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 230-53, sekretarz redakcji 231-53, dział publicystyki i literacki 235-34. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-060 Lublin skrytka pocztowa 201, pocztowe i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# Czarownice są wśród nas...

Niegdyś były przesławiane i palone na stosie, dziś symbolizują nowy ruch wyzwolenia kobiet, wierzący w siły magiczne. Zjawisko to, które zajmuje coraz więcej miejsca w życiu społecznym RFN, omawiamy za tygodnikiem „Stern”.

„Wszystkie czarownice, które niegdyś spłonęły na stosach są wśród nas” — 40-letnia Gea\*) pracownica placówki zdrowia psychicznego w pewnym wielkim mieście zachodniemieckim, jest o tym przekonana. Ona sama jest także „czarownicą” — jak twierdzi — kiedyś, w przeszłości, już żyła na świecie. „Było to gdzieś w Odenwaldzie — mówi. — Byłam uzdrowicielką, zielarką, pomagałam przy porodach. Ale także bano się mnie. Pewni mężczyźni postarali się o to, aby mnie zgładzić”.

Gea przypominała sobie o tym podczas swej pierwszej podróży w przeszłość, przed 10 laty w transie. Jakimś poddała się w ramach grupy doświadczalnej. Poddając się temu doświadczeniu o niczym nie myślała, była trochę rozważona, działała na ludzi. „I nagle stwierdziłam że znajduję się na stosie. To było straszne, wrażenie było tak silne, że zaczęłam płakać”. Uświadomienie sobie poprzedniego życia odmieniło całe jej życie dzisiejsze. Zaczęła interesować się tym tematem, czytać książki, zaczęła uczęszczać na zebrań, poznała inne czarownice — i znów musiała płakać, ale tym razem ze szczęścia: „To było takie cudowne! Jakbym wróciła do domu!”.

Być czarownicą oznacza dla niej dziś posiadanie siły, „wielkiej siły”. Niemniej jednak woli nie ujawniać swego „cywilnego” nazwiska. Czy mogłaby pozostać na stanowisku urzędniczym? — Kobieta, która twierdzi, że potrafi uzdrawiać, że jest w stanie wpływać na wolę innych ludzi, że ma własnego demona, który jej służy, że niedawno, ponieważ po ostatnim sabacie zapomniała się „uziemić”, wdziała na ulicy ludzi ze zwierzęcymi głowami... „Kto by mnie wtedy traktował w pracy poważnie?” — mówi Gea.

30-letnia Argante, z zawodu fotograf, należy do pokolenia, któremu łatwiej jest występować publicznie z szokującymi wyznaniem. Argante jest kapłanka Wicca. Zwolennicy tego pochodzącego z Anglii kultu (są wśród nich także mężczyźni) na całym świecie nazywają siebie „czarownicami” i „czarownikami”. Ale ona tu w RFN woli być ostrożna, jeśli chodzi o to określenie, „ponieważ ludziom kojarzy się ono raczej z kimś komu nie można wierzyć, kto posiada nadprzyrodzone właściwości i kogo trzeba zniszczyć”.

W Ameryce, gdzie spędziła pięć lat, miała o wiele mniej problemów. Ludzie z którymi się stykała wiedzili o wszystkim. Pracowała w pewnym nowojorskim instytucie do spraw badań rynku jako księgowa. Jest to stanowisko, którego nie powierza się osobom niegodnym zaufania. „Nikt ze mnie nie kpił. Przeciwnie, pomagałam koleżankom, kiedy miały kłopoty z mieszczkami, a ja paździerzem, w nasze największe święto, dostałam wolny dzień. Całkiem oficjalnie”.

Nikt nie wie, ile „czarownic” istnieje w Republice Federalnej. Dla ogółu społeczeństwa zjawisko to pozostaje niemal niedostrzegalne. Hamburgska dziennikarka, Gisela Graichen, której, przy zachowaniu wyjątkowych środków ostrożności, udało się przeniknąć do tego zakonspirowanego środowiska i której rozmowy ze „współczesnymi czarownicami” ukazały się teraz w postaci książki, stwierdziła co następuje: „Większość z nich jest pod względem zewnętrznym całkiem normalnymi członkami społeczeństwa. Są to jednak nasi sąsiedzi i sąsiadki. [...] wierzący w Wielką Boginię i w Rogatego Boga. Są to nasi koledzy, którzy nie chodzą w niedzielę do kościoła, lecz wieczorami spotykają się w swej własnej, zakonspirowanej świątyni”. Są

wśród nich reprezentanci wszystkich zawodów, grup społecznych i wiekowych: uczennice i dyrektorzy wielkich firm, sekretarki i technicy dentystyczni, urzędniczki i sprzątaczkę.

Zwolenniczki i zwolennicy „religii czarownic” bronią się przed „wrzucaniem ich do okultystycznego worka”. Przyznają się natomiast do magii, zwłaszcza do tzw. białej magii, która pomaga i uzdrowia, ale nigdy nie szkodzi. „To co dasz z siebie zwróci ci się w trójnasób” — głosi jedno z praw czarownic.

93 procent wszystkich mieszkańców RFN wierzy w to, że „między niebem a ziemią istnieją rzeczy, których nie da się objąć rozumem”. Dwie trzecie przyznaje nawet, że przynajmniej raz zetknęli się już z czymś, czego nie da się racjonalnie wytłumaczyć”.

„Być czarownicą oznacza, że ma się w sobie ukrytą siłę, że jest się świadomą swojej energii, że uprawia się magię. Czarownica to kobieta, która używa swej siły w sposób celowy, która wie, że za pomocą siły wewnętrznej może zmienić wszystko według swojej woli” — mówi kapłanka Argante.

Kiedy Isis zetknęła się po raz pierwszy z kultem czarownic, czuła się bezsilna i pusta. Jej drugie małżeństwo właśnie się rozpadło, matka była ciężko chora, dzieci poszły z domu. Zawsze ciężko pracowała, żeby zapewnić im piękne dzieciństwo i studia. Teraz to się skończyło. Raczej przypadkowo przyłączyła się do grupy kobiet, które przy składkach w pobliżu Detmold odbywały rytualne spotkania. Te samotne, nagle stały uważane były od niepamiętnych czasów za miejsce magiczne. Już Germanowie mieli tutaj swoje miejsca kultu. I tu Isis znalazła źródło nowej siły.

Od tamtej pory ta niegdyś wierząca i praktykująca katoliczka codziennie o szóstej rano staje przed swoim domowym ołtarzem i wzywa demony. Przed tym jednak wykreśla koło, które oddala siły zła. „Idźcie precz!” — rozkazuje im trzymając prawą rękę na sercu, podczas gdy lewą kreśli czarodziejski krąg.

Następnie Isis zwraca się w cztery strony świata i pozdrawia moce rządzące czterema żywiołami: siły powietrza na wschodzie siły ognia na południu wody — na zachodzie i ziemi — na północy. Każdy pokłon kończy się słowami: „Tak ono jest niech będzie błogotawione!”.

Na koniec gromadzi wokół siebie swoje osobiste demony, zwierza się im z konkretnych problemów w danym dniu, mówi, jakie ma życzenia, dziękuje im i zwołuje je. Dopiero po tym udaje się do swej codziennej pracy — jest fizykoterapeutką w wielkiej klinice.

Oficjalna religia nie dawała Ines pociechy w jej rozterkach duchowych. Czyż więc jest takie istotne, skąd czerpie wsparcie moralne, którego tak jej potrzeba? Teraz nigdy już nie czuje się samotna. Cały wszechświat jest dla niej pełen duchów i osobistych demonów. Księżyc spersonifikował się i stał się dla niej „Luną” — symbolem bogini i najbliższą przyjaciółką.

Przez 300 lat płonęły stosy. Ostatnia czarownica w Niemczech została skazana w 1775 roku. Do tego czasu męczeńską śmiercią zginęło prawie dziewięć milionów kobiet. Jakże instynkty znajdowały przy tej okazji ujście, można wyczytać między wierszami protokołów sądowych: obsesje seksualne, zazdrość, ksenofobia. Tak więc w księgach sądowych księżyc diecezji Wuerzburgskiej czytamy, że w 29 masowych egzekucjach, jakie odbyły się tam w latach 1627—29, w płomieniach zginęły: „dwie obce kobiety”, „dwunastoletnia dziewczeczka, przybyła nie wiadomo skąd”, „Goebel-Babelin — najpiękniejsza dziewczyna Wuerzburga, wreszcie — „zezowata znachorka-akuszerka, od której całe zło się zaczęło”.



Repr. Zbigniew Jaskiewicz

Kobieta, która raz dostała się w ręce fowców czarownic, nie miała już żadnych szans udowodnienia swej niewinności. Znany jest przypadek, gdy kilka kobiet na torturach przyznało się do wydobycia z grobu zwłok świeżo pochowanego dziecka, aby ich części zżyć do wytwarzania czasodziejskich maści. Mał jednej z oskarżonych doprowadził do otwarcia dziecięcego grobu w obecności proboszcza i innych świadków. Zwłokę dziecka były nie naruszone. Sąd jednak uznał iż jest to „sprawka szalana” i posłał wszystkie kobiety na stos.

Kim były czarownice? Jaka była ich rzeczywista wiedza? Te pytania znalazły się w centrum uwagi feministek, które przystąpiły do badania historii wchodzących w skład kultury i kultury kobiet w dawnych wiekach. Dokonały przy tym ważnego odkrycia: że w średniowieczu istniały kobiety, które potrafiły leczyć, znały się na ziołach, a nawet na narkotykach. Dzisiaj nowe czarownice, zainspirowane odkryciami badaczek epoki matriarchatu uważają że trzeba reaktywować kult Wielkiej Bogini, aby odwrócić globalną katastrofę, ku której zmierza ludzkość.

Religia chrześcijańska — argumentują zwolenniczki Wielkiej Bogini — obiecuje człowiekowi nieśmiertelność. Tym samym stawia go niejako poza wszechświatem, daje mu władzę nad przyrodą. Przystępuje on do walki z nią, a to znaczy — z samym sobą. Wyczerpuje zatrutą i niszczy własne źródło życia. W końcu czeka go samo-unicestwienie. Nic więc dziwnego, że nowoczesny kult czarownic szczególnie pociąga zwolenników ruchu ochrony środowiska naturalnego. Znajdują tutaj inny stosunek do przyrody, która jest dla nich czymś ważnym i bliskim.

„Współczesne czarownice” patrzą innym oczami nie tylko na świat, ale także na siebie. Są zafascynowane swymi poprzedniczkami, które poznają z dawnych mitów i z którymi pragną się identyfikować.

\*) Imiona, jakie nadały sobie występujące w tym raporcie czarownice, pochodzą ze starych mitów.

## Krzyżówka nr 7 Szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przelnieć do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko tworzą ostatnie litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. (Uwaga! Jedną z liter nazwiska powinna być z przecinkiem, podczas gdy w wyrazie pomocniczym tenże nie występuje). Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

- Wyrazy pomocnicze:
1. bezczynność — 29, 10, 54, 48, 23, 51.
  2. podziemna część rośliny wieloletniej — 57, 41, 30, 113, 89, 15.
  3. zawodowo oklaskuje — 137, 45, 33, 93, 68, 78, 18.
  4. strój szlachecki — 111, 58, 11, 55, 44, 106, 21.
  5. z nich fryzura — 24, 31, 100, 88, 19.
  6. dotkliwe pobicie — 25, 90, 121, 39, 109, 20.
  7. przedwojenny polski niszczyciel — 87, 17, 23, 114, 13, 75.
  8. przedni ząb — 91, 81, 35, 53, 49, 143, 8.
  9. ozdoba męskiej twarzy — 115, 159, 140, 71.
  10. grecki bóg słońca — 122, 95, 16, 112, 67, 4.
  11. wróż, przepowiedacz — 84, 120, 26, 69, 175, 63, 2, 14, 27.
  12. wiejski budzik — 119, 56, 46, 60, 37.
  13. do mycia — 142, 102, 70, 83, 47.
  14. od as do a — 38, 62, 153, 61, 117, 1.
  15. właśnie się zaczęła — 105, 123, 6, 143, 170, 40.
  16. na niej liście — 43, 179, 162, 172, 133, 72, 76.
  17. sprzeczanie cudze rzeczy — 126, 177, 166, 9, 65.
  18. stamtąd zapalki — 152, 12, 52, 36, 73, 103.
  19. najniższa instancja administracyjna — 59.
  20. może będzie nim „Kamena” — 149, 134, 98, 169, 7, 145, 173, 86.
  21. ministerstwo urzędu wojewódzkiego — 74.
  22. szybkość — 110, 104, 183, 5, 161.
  23. czerwony w zbożu — 79, 146, 151.
  24. maniera, szablonowość — 132, 96, 124, 83, 178, 80, 125.
  25. taniec biodrami — 66, 131, 156, 118, 176.
  26. ceremonialne odwiedziny — 160, 64, 107, 150, 92, 129.
  27. kolejne opracowanie — 155, 153, 99, 157, 128, 82.
  28. majątek, fortuna, worek — 130, 116, 182, 135, 167.
  29. zdoła młodą twarz — 174, 94, 139, 163, 181.
  30. z gatunkiem, rozmiarem i ceną — 154, 144, 136, 171, 141.
  31. symbol kobiecych przodków — 180, 164, 147, 77, 127, 3, 32.

- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 19 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI „WIĄTECZNEJ Z SZYFREM

POZIOMO: reprezentacja, część ideal, czaprak, Olimpia, urlop, pieczara, lenno, stawiennictwo, motyle, strofa, Astrea, rosół, dalia, Indiana, protektor, mistrza, diody, ołdon, szwajcar, Irawadi, tapanie, unpaat, jabot, Ignacy, zacep, Ananke, ugrzecznienie, wytył, Terespol, rywal, lożyisko, Batawia, palce, nieuk, aklimatyzacja.

PIONOWO: Sowiński, gryzonie, Arad, Hawa, igła, całostka, czyn, narada, Akroopol, Irian, Insko, Walim, oista, tołpyga, Elbert, Szyr, Rzeczpospolita, tusz, cisza, pęta, walc, paciorkowca, emir, pulsacja, Amado, Enkur, arbi-ter, ramol, trefl, Dąbie, tremo, Chłopcy, intruz, Laos, Achilles, paki, trupa, neon, usnieńie, akademie.

SZYFR: Tolo — Lotek, liga polska i angielska, duży wybór, mało straszisz, wiele znakasz, zagraj zaraz.

Nagrody wylosowali: Elżbieta Burek, ul. Kazimierza Wielkiego 9/37, 20-611 Lublin; Halina Kopicievska, ul. Szkolna 6/42, 20-124 Lublin; Wiesław Businek, ul. Skierki 1/31, 20-601 Lublin; Dorota Korobiejnikow, ul. Zamenhofs 9/2, 22-400 Zamość; Czesław Król, ul. Krasickiego 4/98, 23-210 Kraśnik.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17		
18	19	20		21	22	23	24		25	26	27	28	29	30	31	32		
33	34	35	36	37		38	39	40	41		42	43	44	45	46	47		
48	49	50		51	52	53		54	55	56		57	58	59	60	61	62	
63		64		65	66	67		68	69	70	71	72	73	74		75	76	
77	78	79		80	81	82	83		84	85	86		87	88	89	90	91	
92	93	94	95		96	97	98	99	100	101	102		103	104		105	106	
107	108	109	110	111	112	113	114		115	116	117	118	119	120	121	122		
123	124	125	126	127		128	129	130		131	132	133	134	135	136	137	138	
139		140	141	142	143	144		145	146	147		148	149	150	151	152	153	
154			155	156	157	158	159		160	161	162	163	164		165	166	167	168
169	170	171	172		173		174	175	176	177	178	179	180	181	182	183		